

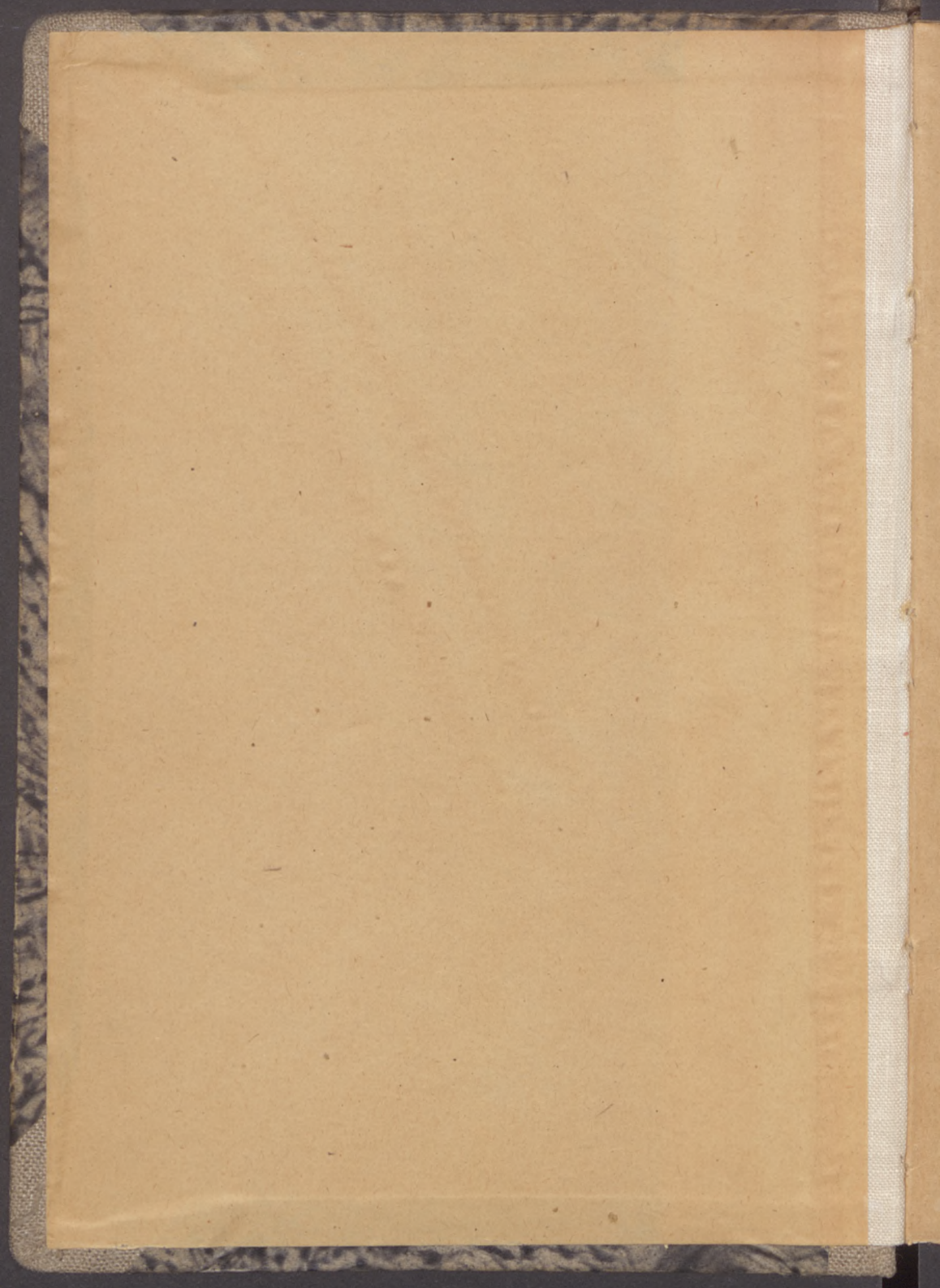
Biblioteka
U. M. K.
Toruń

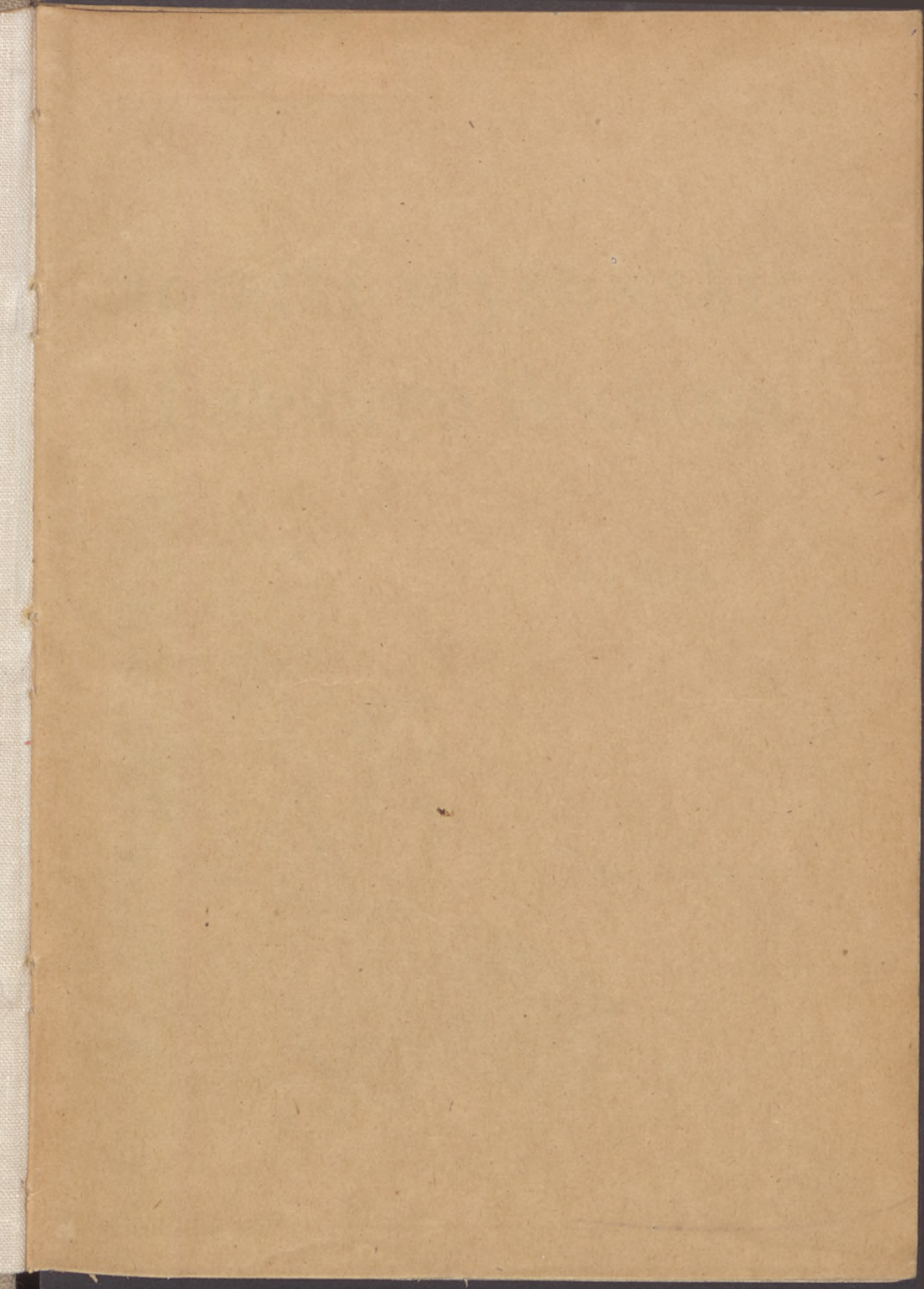
161967

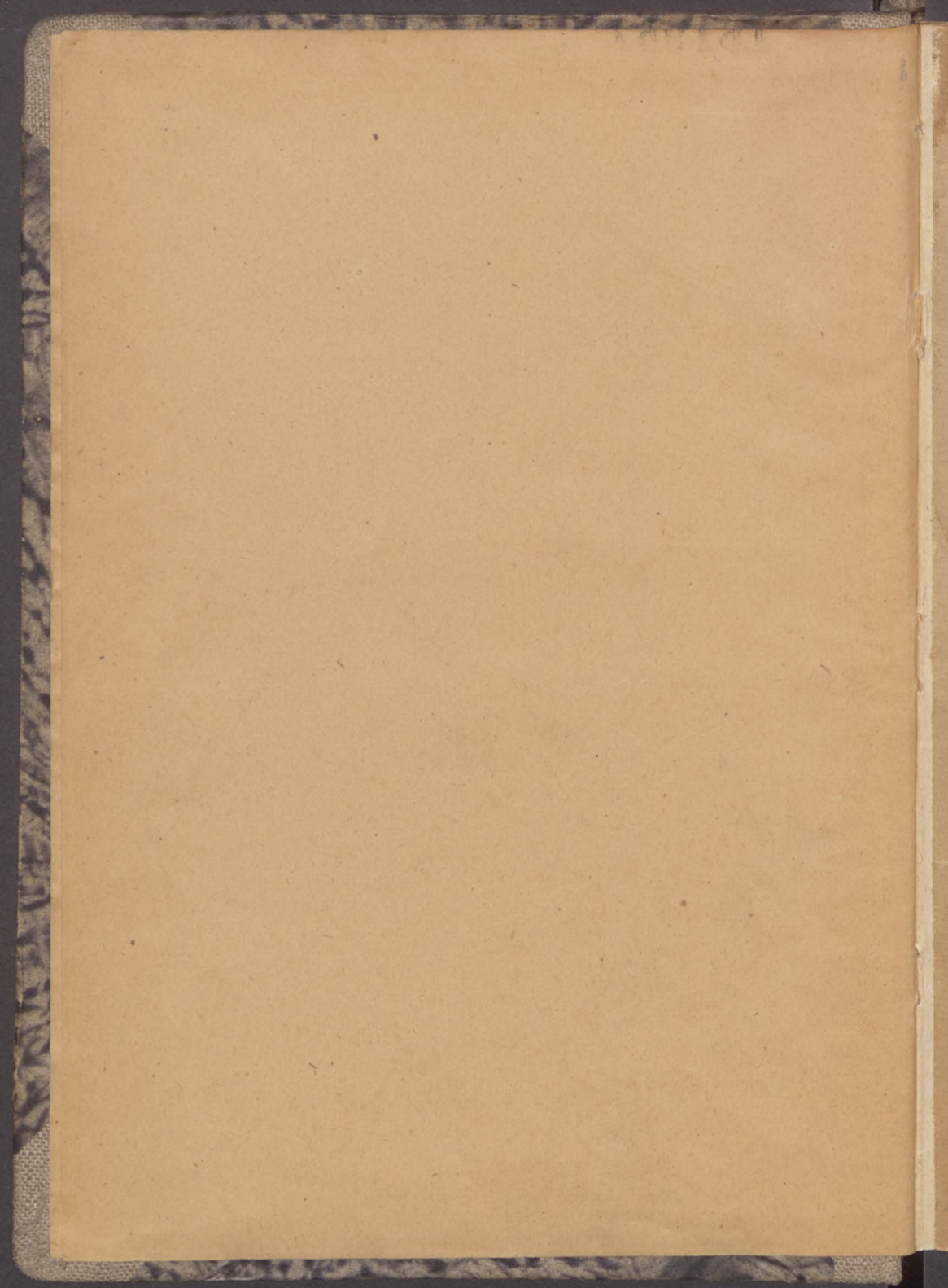
HOJAKI MYSLIWCKIE

Poloni

167







JOZEF M. POŁOCKI.

52)

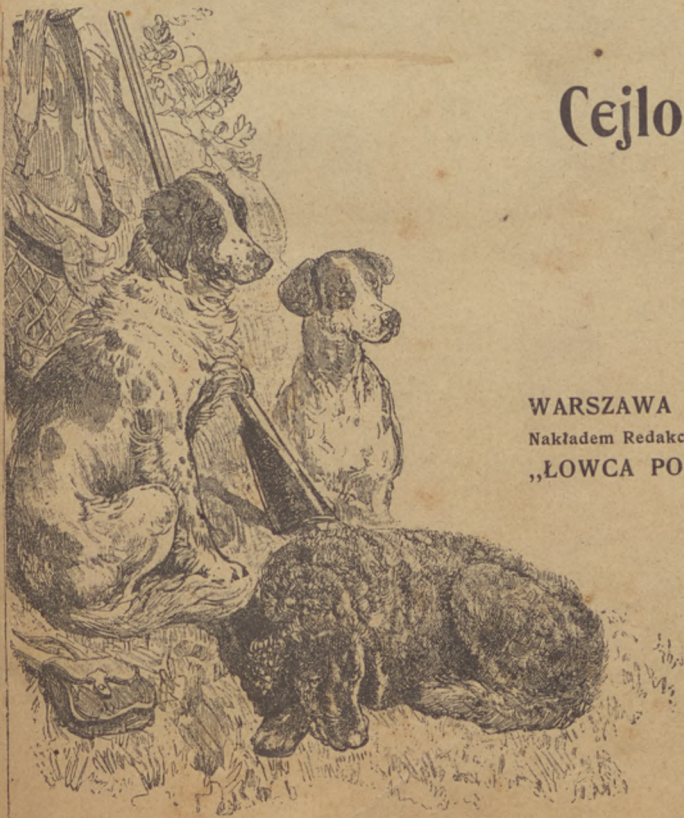
Notatki myśliwskie z Dalekiego Wschodu.

Cejlon.

WARSZAWA

Nakładem Redakcyi

„ŁOWCA POLSKIEGO“.



L. 23.

NOTATKI MYŚLIWSKIE Z DALEKIEGO WSCHODU.

[000] DRUK PIOTRA LASKAUERA I S-KI. [000]

Józef hr. Potocki.

Notatki myśliwskie
z Dalekiego Wschodu.

CEJLON.



WARSZAWA
Nakładem Redakcyi «Łowca Polskiego»

—
1906.

161967

U



ROZDZIAŁ I.

Cztery lata minęły od ostatniej mojej podróży do Indyj, gdy powziąłem zamiar nowej wycieczki na Wschód Daleki.

Stosunki mego życia znacznie się zmieniły; obowiązki rodzinne nie pozwalają nawet marzyć o ryzykownych i dalekich wyprawach. Jednak żyłka myśliwska i gorąca żądza nowych wrażeń łowieckich, którym dopomógł szczęśliwy zbieg okoliczności, umożliwiając w r. b. wyjechać z domu na czas dłuższy,—pchnęły mnie znów na tory wyprawy myśliwskiej, z głównym celem — polowania na grubego zwierza.

Wabiły mnie ponownie Indye, a w szczególności nieznane mi regiony północnego Assamu i Nepalu u stóp Himalajów; ciągnęło mnie w głąb Afrykańskiego kontynentu, nad brzegi tajemniczych jezior i do podnóża Kilimandżaro, do tego istnego Eldorado myśliwych, skąd dobrze mi znajomi podróżnicy, bogate trofea łowieckie z najgrubszego zwierza, rok rocznie przywożą... Atoli, mając tym razem podróżować z żo-

na, wolalem obrać za cel wycieczki dostępniejszą, bardziej ucywilizowaną, a niemniej ponętą i ciekawą wyspę Cejlon.

Zaopatrzwszy się w listy rekomendacyjne do władz angielskich na Cejlonie i ułożywszy ogólny plan podróży, pożegnaliśmy w Tryeście starą Europę w d. 6 stycznia 1894 r., w samą czwartą rocznicę mego pierwszego wyjazdu do Indyj.

Wspaniały parowiec Lloyd'a austriackiego, „Imperator“, dążący do Bombaju, miał w ciągu dni pięciu przewieźć do Port-Saidu całą naszą drużynę, złożoną z nas dwojga i naszych braterstwa. Zamierzaliśmy odprowadzić ich do Kairu i przed dalszą podróżą kilka tygodni z nimi w Egipcie przepędzić.

W poniedziałek wyjechaliśmy z Łańcuta, a nie-szczęsne omen tego dnia feralnego spotkało nas zaraz u wstępu podróży: w Tryeście trafiliśmy na porę fatalną; groźny „bora“ dał z północy zapamiętałe, uniemożliwiało statkom wyjście z portu i obniżył temperaturę do tego stopnia, że nigdy w życiu, nawet na głębokiej północy, nie uczuwałem podobnego zimna.

Dwa dni byliśmy zmuszeni przeczekać w Tryeście, marznąc niemiłosiernie w kajutach parowca, przy temperaturze, stale trzymającej się niżej zera. Nie można było przenieść się do miasta i hotelu, gdyż „bora“ ustaje zwykle równie nagle, jak się zerwał, a wówczas statek puszcza się w drogę niezwłocznie; moglibyśmy więc niezdażyć na czas odjazdu z miasta na pokład.

Kto „bory“ nie widział i nie zaznał w Tryeście,

ten nie może mieć pojęcia o jego zacieklej sile i gwałtowności szalonej. Zrywa dachy, przewraca kominy, obala latarnie, powozy i przechodniów na ulicach, wzdłuż których rozciągnięte sznury służą za punkt oparcia i poręcze dla bezpieczeństwa pieszych przechodniów. Biada okrętowi, zaskoczonemu na morzu w miejscu niebezpiecznem, przez ten wichur zaciekły!

Właśnie podczas naszego pobytu w Tryeście, padł ofiarą rozhukanych żywiołów jeden ze statków handlowych. Rzucony siłą wiatrów na wybrzeża Italii, koło Ankony, rozbił się i zginął.

Nareszcie trzeciego dnia zrana burza ustała. „Imperator“ podjął kotwicę, i ruszyliśmy w drogę.

Morze tego dnia dosyć było łaskawe, ale niedługo cieszyliśmy się tym względnym spokojem. W połowie nocy zerwał się ponownie gwałtowny wichur z północy, a spotkawszy się z wyjącem z południa, „sirocco“, który wpadł z morza Śródziemnego i harcował wesoło w ciasnym Adryatyku, — rozpoczął z nim taniec szalony. I wzięli się za bary obaj zapaśnicy, biczując zapamiętałe rozhukane fale spienionego morza, na którym skakał, jak piłka, nasz „Imperator“ i biedni w nim pasażerowie. Ze znacznem spóźnieniem przybyliśmy nazajutrz do Brindisi i przystanęli na chwilę, aby zabrać pocztę europejską.

W Brindisi żywioły się uspokoiły. Minęliśmy Korfu, pozdrowili, choć zdaleka, rysujące się na tle horyzontu kontury greckiego półwyspu i wypłynąwszy na pełne morze, ujrzelśmy w oddali nagie i skaliste brzegi Krety.

Odtąd z każdym dniem podmuch wiatru stawał się cieplejszy, czuć było w atmosferze, że zbliżamy się do odmiennej strefy, — pożądana i miła dla nas zmiana po mrozach naszego kraju i lodowatym „bora“ tryesteńskim.

Towarzystwo na naszym statku było bardzo nie-liczne; zaledwie 8 — 10 osób stanowiło cały kontyn-gens pasażerów pierwszej klasy.

Lloyd austriacki, pomimo wszelkich wysiłków, całego starania i kosztów, jakie łoży na urządzenie pasażerskiej linii swych parowców do Indyj, nie jest w stanie wytrzymać konkurencji z liniami angielskimi i francuskimi „Messageries Maritimes“. Nie brak komfortu, ani mniejsza szybkość chodu temu winna: pod temi względami, statki austriackie wcale nie ustępują najlepszym parowcom angielskim lub francuskim. Przyczyna złego tkwi, zdaje mi się, głównie w niefortunnem położeniu geograficznem Tryestu, jako punktu wyjścia podróży: leży on na uboczu od wielkich dróg europejskich, a nadto stosunki Austrii z Dalekim Wschodem, o wiele słabsze od stosunków nnych państw, nie wytwarzają bezpośrednich styczności komercyjnych i tylko w słabym stopniu przyczyniają się do ożywienia ruchu pasażerskiego. W ostatnich wszakże latach położenie austriackiego Lloyd'u, jak nas zapewniano, znacznie się poprawiło i ruch jego handlowy ciągle wzrasta.

Rankiem, d. 10-go ujrzeliśmy wynurzające się ze mgły porannej, zarysy stałego lądu dwóch kontynen-tów, rozdzielonych tylko genialnym pomysłem „wiel-

kiego Francuza“. W kilka chwil później „Imperator“ zarzucił kotwicę w przystani Port-Said, u samego ujścia kanału Suezkiego do morza Śródziemnego.

Tu pożegnaliśmy swój statek i jego dzielnego komendanta, kapitana Bechtingera, którego nazwisko ostatnimi czasy chlubnie wspominano w kronikach morskich, z okazji szczęśliwego wybawienia powierzonego mu „Imperatora“, gdy ze straszliwego cyklonu na oceanie Indyjskim, w grudniu roku zeszłego, wiele innych statków przepadło. W tym samym cyklonie postradał życie kapitan „Poseidona“, zrzucony z wierzchniego pomostu całym impetem rozhu-kanej fali, a sam statek tylko cudem zdołał ująć zagłady, nie bez ciężkich uszkodzeń.

W Port Said zabawiliśmy tylko parę godzin i korzystając z nowej linii świeżo zbudowanej odnogi kolei z Port-Saidu do Izmailii, stanęliśmy tego samego dnia wieczorem w Kairze. Po raz trzeci w życiu odwiedzam kraj Faraonów. Tyle w nim uroku, tyle powabu w cudnym klimacie i słońcu, tyle ciekawych zabytków i czarujących widoków malowniczego Oryentu, że za każdym razem żywiej odczuwam przyjemność pobytu w nadnilowej stolicy i z niczem podobnem w Europie porównać go nie mogę. Tym razem szczególnie dzięki milej kompanii, nadzwyczaj przyjemnie i wesoło minęły nam trzy tygodnie, spędzone w Kairze; z prawdziwą rozkoszą dzieliłem wrażenia naszych pań, które tu pierwszy raz w życiu miały sposobność Oryent podziwiać. Rozkosz to podwójna—samemu rzecz piękną oglądać i pokazywać ją drugie-

mu, który każde piękno odczuć, ciekawą stronę każdej rzeczy pojąć i zainteresować się nią potrafi.

Nie będę opisywał naszego pobytu w Egipcie; poruszałem już ten temat w pierwszym tomie swoich „Notatek“. Musiałbym zresztą wyliczać długi szereg zwiedzeń, ekskursyj, spacerów, zabaw towarzyskich i wesołych rozrywek, które nam czas w Kairze zajęły.

Egipt już przestał należeć do krain egzotycznych, na którego opis zwykły turysta w skromnym zarysie myśliwskich notatek mógłby się porywać. Ma do tego prawo uczony egiptolog, zapuszczający się w poważne rozprawy nad najnowszymi odkryciami archeologicznymi, lub wielki powieściopisarz, gdy zechce przelać na papier odczute wrażenia w wykwintej formie poetycznego opisu. Mimowoli przychodzi mi na myśl cudowna kartka z „Listów z Afryki“ naszego genialnego Sienkiewicza, gdy wspominam uroczą wycieczkę o północy, przy blasku księżyca, do tajemniczego Sfinksa u stóp piramid Gizejskich, którego widok niezatarte i głębokie wywarł na nas wszystkich wrażenie.

Przed czterema laty głównym celem mego pobytu w Egipcie było kupno ogiera arabskiego dla Antonińskiego stada; wówczas dopiero w dalszym ciągu mej podróży, w Indyach udało mi się go nabyć. Teraz również oglądałem się za końmi, lecz upadek chowu rasy arabskiej w Egipcie tak jest widoczny, że nawet w porównaniu z tem, co widziałem przed czte-

rema laty, zauważyłem, niestety! — krok ku gorszemu.

W Shepherd's-Hotel, w którym mieszkaliśmy, spotkałem znajomego mi z poprzedniego pobytu w Egipcie, d-ra Bumüllera, Niemca, jednego z towarzyszków majora Wissmana, cesarskiego komisarza dla posiadłości niemieckich w Afryce Wschodniej. Wracał właśnie z głębi Czarnej Kontynentu, gdzie u boku Wissmana przez dwa lata bez przerwy brał czynny udział w akcji rządu niemieckiego około rozszerzenia i utrwalenia posiadłości niemieckich nad brzegami wielkich jezior: Nyanza i Tanganika.

Blady, wycieńczony, z dziwnym wyrazem jakiegoś ciągłego, nerwowego niepokoju w oczach, nosił na sobie widoczne ślady strasznego zmęczenia, forsonnych marszów i ciężkich niewygód, doznanych podczas dwuletniej wędrówki przez te dzikie kraje. Febra nim trzęsła codziennie, mizerny był bardzo, a przytem ciągle jakby zdenerwowany.

Opowiadał nam między innemi, że raz jednego, podczas wyprawy, gdzieś w głuchej, mało znanej okolicy, zaniemógł ciężko na złośliwą gorączkę i był zniewolony przeleżeć kilka tygodni w ciemnej i niskiej chacie krajowca.

Pewnego poranku obudził się po długiej bezprzytomności kompletnie ślepy. Czy to pod wpływem nadmiaru zażytej chininy, czy też z jakiegoś innego niezbadanego powodu, odjęło mu wzrok zupełnie. Jakiegoś męki rozpacz i niepewności przecierpieć musiał, wystawić sobie łatwo.

O dalszem pozostaniu na miejscu mowy być nie mogło; musiał z pochodem ruszyć dalej, choć ciemny zupełnie. W takim stanie przetrwał kilka miesięcy, wlokąc się za innymi, w piekielnym skwarze, prowadzony za rękę przez murzynów, zdany na ich łaskę i niełaskę, niepewny, czy wzrok kiedykolwiek odzyska, znosząc istne katusze fizyczne i moralne.

Środka leczniczego nikt mu zastosować nie umiał, bo przyczyna i rodzaj tej niemocy wzroku były nieznane. Dopiero po sześciu miesiącach tego okropnego stanu, ślepotą zaczęła stopniowo ustępować, aż zniknęła zupełnie również niespodzianie i sama przez się, jak była powstała.

Nie będę tu powtarzał jego opowiadań o doznanych przygodach i epizodach myśliwskich; o ich dodatnim rezultacie wymownie świadczyły leżące przed jego mieszkaniem w sieni hotelowej, stopy kości słoniowej, rogów i czaszek nosorożców i antylop wszelkiego rodzaju, skóry lwie i lamparcie i t. p.

Dziwny urok wywiera Afryka na tych, którzy raz zakosztowali egzystencji w niezbadanych jej strefach. Niejednokrotnie zauważyłem, że mimo istnych mak, dokuczliwych chorób i ciągłych niebezpieczeństw, z którymi walczyć muszą wszyscy ci eksploratorowie, każdy z nich, skoro wróci do Europy i świata cywilizowanego, jedno ma tylko życzenie i żądę: jaknajspieszej zapuścić się ponownie w dzikie przestworza tego tajemniczego kontynentu. Jakby siła jakiej nostalgii nieprzepartej ciągnie ich napowrót do afrykańskiej głuszy. I Bumüller, zaledwie tydzień

w Kairze zabawiwszy, śpiesznie umknął do Adenu, gdzie go Wissman oczekiwał i skąd mieli ponownie w głąb Afryki wyruszyć.

Dzięki Bumülerowi udało mi się „nabyć“, a raczej przyjąć do służby młodego murzyna. Bumüller przywiózł go właśnie z Afryki Środkowej, a dowiedziawszy się, że szukam „czarnego człowieka“, mnie go uprzejmie ustąpił.

Murzyn mój nazywa się Ferek, a pochodzi z głębokiego Sudanu, z nad źródeł Nilu Białego. Gdzie się urodził, w jakim jest wieku, do jakiego szczepu należy, — o tem sam nie ma dokładnego pojęcia. Przed dwoma laty dostał się pospołu z kilkudziesięciu innymi towarzyszami z Sudanu na terytorya niemieckie w Afryce centralnej pod rozkazy Wissmana, który formował wówczas swe zbrojne, „czarne“ bataliony pod dowództwem oficerów niemieckich. W wojsku tem, jako żołnierz Jego Cesarskiej Niemieckiej Mości, przesłużył dwa lata i odznaczał się w ciągłych utarczkach z dzikimi hordami nieprzyjecznych szczepów murzyńskich, męstwem i akuracnością w służbie, za co go Wissman na podoficera awansował. Wskutek rany, otrzymanej w jednej z utarczek, przeszedł z szeregów walczących, do służby przy osobie Wissmana, potem Bumüllera, wreszcie z biegiem okoliczności, w moje ręce się dostał.

Jest sprytny, pojętny i wesoły. Żałuję tylko, że się z nim rozmówić nie mogę, bo oprócz narzeczy murzyńskich, Ferek żadnego języka nie rozumie; po

arabsku tylko z trudnością wysłowić się jest w stanie. Porozumiewamy się zatem na migi.

Trzy tygodnie w Egipcie przemknęły, jak strzała. Nadszedł dzień 28-my stycznia, w którym mieliśmy w dalszą ku Wschodowi puścić się drogę. Ze smutkiem rozstaliśmy się z braterstwem, wracającymi do Europy, i z żalem pożegnaliśmy brzegi Nilu.

Dnia 27-go opuściliśmy Kair i wieczorem stanęliśmy tegoż samego dnia w Suezie, a raczej parę kilometrów za Suezem, w Port-Tewfik, przy samem ujściu kanału do golfu Suezkiego, nad przystanią, gdzie statki zatrzymują się przed dalszą podróżą.

Dzięki uprzejmości jednego ze znajomych mi, wysokich urzędników administracji kanału, znaleźliśmy w Port-Tewfik wygodne pomieszczenie i gościnne przyjęcie w ślicznym pałacyku, t. zw. rezydencji francuskiego Towarzystwa kanału Suezkiego, położonej nad samem morzem, na które z pięknej werendy uroczy roztacza się widok. Była to tem większa dla nas wygoda i przyjemność, że hotele w Suezie są wstrętnie brudne i prawie niemożliwe do zamieszkania.

Statek nasz, nazwiskiem „Calédonien“, należący do francuskiej linii Messageries Maritimes i płynący z Marsylii, miał nazajutrz rano stanąć w Suezie; tymczasem spóźnił się i przybycie jego dopiero na wieczór sygnalizowano. Mieliśmy zatem cały dzień wolny do zwiedzenia Suezu i Port-Tewfiku.

Port-Tewfik stanowi kolonię ładnie zabudowanych willi, w cieniu drzew i ogrodów, zamieszkaną

niemal wyłącznie przez urzędników Towarzystwa kanału, między którymi pracuje też kilku Polaków.

Sam Suez mało przedstawia interesu po osobliwościach uroczego Kairu i Aleksandryi. Jest to zlepek brudnych domostw i lichych bazarów z nędznymi resztkami niezbytej gdzieindziej, europejskiej tandety. Jedynie, jako punkt zborny pielgrzymów do Mekki, z którego mnogie karawany i krocie tysięcy „wiernych“ do grobu Proroka wyruszają, posiada Suez nieco stron malowniczych. Cały Islam jest tu reprezentowany; różnorodne typy i ubiory całego świata muzułmańskiego w Suezie spotkać można: od poważnego kupca z europejskiego Adryanopola do dzikiego Bucharca o twarzy mongolskiej ze stepów Azji Środkowej, lub Turkmena z odległego Jarkandu z chińskiego pogranicza.

Wieczorem, koło 9-ej, posuwając się zwolna i ostrożnie w ciasnym kanale, wśród jasnego blasku olbrzymiej lampy elektrycznej, oblewającej morzem białego światła żółte i piaszczyste brzegi kanału, nadszedł „Calédonien“ i zarzucił kotwicę w przystani Port-Tewfiku.

Szalupa parowa zabrała nas z lądu i dowiozła do okrętu. Wsiadliśmy na pokład statku, na którym mieliśmy spędzić dwa długie tygodnie. Ze służby mieliśmy z sobą mego strzelca, Stefana, i wyżej wzmiankowanego Fereka.

„Calédonien“ należy do wielkich okrętów Towarzystwa Messageries Maritimes, t. zw. „les Indo-Chine“, które kursują dwa razy na miesiąc między Marsylią

a głównemi portami najdalszego Wschodu: Indyj, Chin i Japonii, i uchodzą za najlepsze statki na tej linii.

Istotnie nasz „Calédonien“ nic nie pozostawia do życzenia. Kabiny i salony przestronne i starannie urządzone, pokład szeroki, kuchnia znośna, kapitan i służba okrętowa uprzejmi, wreszcie chód okrętu nie wolniejszy od innych.

Mało mam do zanotowania z tej dwunastodniowej naszej przeprawy.

Współtowarzyszów podróży było około stu, różnych narodowości. Arcybiskup z Goa, posiadłości portugalskiej na zachodnim wybrzeżu Indyj, głowa naszego Kościoła w Hindustanie; kilku misjonarzy i dwie zakonnice; kilka rodzin plantatorów holenderskich i angielskich z Jawy i Cejlonu, z bardzo krzykliwemi dziećmi; komiwojażerowie angielscy z Singapoore i Hongkongu; rosyjski attaché poselstwa w Pekinie i dwóch oficerów armii rosyjskiej, jadących do Władywostoku via Jokohama; kilku niemieckich i szwajcarskich komersantów z Kochinchiny; jakiś młody i bogaty Francuz z bulwarów paryskich, który przydanego mu widocznie przez rodzinę, starszego mentora i kierownika podróży naokoło świata, zamienił na szykowną towarzyszkę, przybyłą *ad hoc* z Paryża, ku wielkiemu ambarasowi zafrasowanego mentora; wreszcie nas dwoje—składało się na dziwną mozaikę rozmaitych narodowości i klas społecznych.

Francuzi byli najmniej licznie reprezentowani, bo oprócz młodego eleganta, jechało z nami tylko

dwóch wyższych lekarzy rządowych z kolonij francuskich. Anglików, jak zawsze i wszędzie, najwięcej.

Barwny obraz przedstawia część pokładu naszego parowca, zarezerwowana dla podróżnych III klasy, gdzie i nasz Ferek kwaterował. Obok chińczyków, stanowiących służbę okrętową, porozkładali się na pokładzie malowniczymi grupami Arabowie z Adenu i Colombo, Mahometanie z Singapoore, wracający z Mekki, Annamici z Tonkinu, Jawańczycy, Murzyni z Mozambiku i t. p. Każda grupa, według narodowości oddzielnie się trzyma i własne gospodarstwo prowadzi. Szczególniej wieczorem tworzy się ładny obraz, gdy przeciągły i cichy śpiew Mahometan, odmawiających modlitwę, miesza się ze swarem gadatliwych Chińczyków i krzykliwym szwargotem Murzynów.

Żółwim krokiem czas się wleczę na statku, szczególnie z początku. Jednakże w miarę przyzwyczajenia, po rozdzieleniu pór dnia na czynności, zajęcia i rozrywki, jakimi się rozporządza, czas prędko schodzić zaczyna i sama monotonność sprawia to właśnie, że dni i tygodnie mijają na morzu szybciej, niżby się zdawać mogło.

Pogoda była piękna, gorąco wcale nie dokuczało, a dosyć silny wiatr przeciwny z południa dodawał wciąż świeżości atmosferze i chronił od zaduchu w kabinach. Temperatura trzymała się około 20—24° Celsjusza na pokładzie i w cieniu.

Opuściwszy Suez w nocy 29-go, ujrzelśmy na jutrz przesuwające się przed nami w blasku rannego słońca trzy malownicze szczyty góry Sinai, pię-



trzące się w dali, za skalistemi wybrzeżami półwyspu tegoż nazwiska. W zatoce Suezkiej widzi się brzegi obu kontynentów; na morzu Czerwonym traci się je z oczu zupełnie.

Po przebyciu koła zwrotnikowego, pogoda nieco się zepsuła, niebo się zachmurzyło i silny wiatr zerwał się z południa. wstrzymując chód okrętu i trzęsąc nim niemiłosiernie. Nawiasem mówiąc, rzadki to wypadek niepogody o tej porze roku na morzu Czerwonym.

Z 12-godzinnem opóźnieniem przebyliśmy w nocy 31-go cieśninę Bab-el-Mandeb, minęli angielską wyspę Perim, ten Gibraltar morza Czerwonego, i na jutrz po południu stanęliśmy w Adenie.

Po raz trzeci w życiu miałem sposobność oglądać ów chaos wulkanicznych bloków i nagich głazów, z których geniusz i energia Albionu zdołały stworzyć punkt niesłychanie ważny dla strategii morskiej i światowego handlu, formując tu główny skład niezbędnego dla wszystkich, węgla, pod strażą armat angielskich i warownej fortecy.

Tym razem brakowało do kompletu krajobrazu w Adenie, palącego słońca i niebieskiego, jak szafir, morza; siwe chmury przeciągały po niebie, chłodny wiatr dął z oceanu, burzliwe fale pienily się około zatopionego w samym porcie, parowca, którego trzy maszty, sterczące z wody, już cztery lata temu widziałem.

Korzystając z kilkogodzinnej przerwy, odbyliśmy powozem przejażdżkę po Adenie i okolicy, oraz zwie-

dziliśmy znane cysterny, będące głównem „atraction“ Adenu.

Ferek, towarzyszący nam na koźle powozu, odnalazł tu kilku przyjaciół i towarzyszków z Zanzibaru, z którymi służył w Afryce Środkowej w wyprawach Wissmana. Wielka była radość z tego powodu: ściskali się za ręce, pokazywali białe zęby w szerokim uśmiechu i szwargotali po murzyńsku. Byli to Somalisi z przeciwległego wybrzeża Afryki, t. zw. Somalilandu, skąd zazwyczaj rekrutują eskorty i karawany ekspedycyj myśliwskich do Afryki Centralnej.

Aden to jakby wrota do odmiennej strefy, punkt przełomowy dwóch światów między malowniczym Oryentem a egzotycznymi krainami drugiej półkuli.

Nazajutrz minęliśmy przylądek Guardafui, ten w morze wysunięty, niebezpieczny dla marynarzy, cypel afrykańskiego kontynentu, którego nazwisko ma im przypominać wyrazy: „Baczność! uciekaj!“ (guarda! fui!), i pozostawiając za sobą wyspę Sokotora, wypłynęliśmy na pełny Ocean Indyjski.

Marynarze opowiadają, że brzegi przylądka Guardafui są pokryte resztkami rozbitych lub osiadłych tu na mieliźnie, parostatków. Jeden z wielkich parowców francuskich „Indo-Chine“, nazwiskiem „Me-kong“, przepadł tu kilka lat temu, wjechawszy na mieliżnę, z której nie zdołał się wybawić. Załoga i pasażerowie musieli wśród strasznych męczarni od piekielnego skwaru słońca brnąć pieszo w głębokim piasku aż na brzeg przeciwległy w zatoce Adeńskiej.

Mówią, że nie daleko wybrzeża koczują we-

wnętrz kraju dzikie szczepy Somalisów, żyjące niemal wyłącznie z rabunku okrętów, rzuconych zawistnym losem na te brzegi niegościnne.

Zwracamy się na południe ku równikowi. Odtąd słońce jeszcze gorętsze, morze niebieskie, jak szafir — a firmament wśród cudnej nocy podzwrotnikowej jaśnieje niezwykłym blaskiem milionów gwiazd; białym szlakiem rysuje się wyraziście droga mleczna. Oglądamy widoczną w tych strefach, gwiazdzistą konstelację krzyża Południowego, podziwiamy niezwykły blask Wenery i ukazujące się niekiedy podczas pięknej i spokojnej nocy, przepyszne zjawisko fosforencyi morza. Jak daleko oko zasięgnie, powierzchnia wody jaśnieje, niby jedno, bezbrzeżne, migotliwe morze światła.

Zjawisko to wywołują miliardy pelagicznych żyjątek, krustace i meduzy (Pyrosoma), wydzielające ze swych ciałek mikroskopijnych świetlane atomy.

Jedenastego dnia podróży minęliśmy mały archipelag Minakoiski, grupę drobnych, drzewami kokosowymi porośłych wysepek, koralowej formacyi, a na — zajutrz, 8-go lutego, zbliżyliśmy się do kresu naszej podróży, przebywszy w ciągu dni dwunastu długą przestrzeń 3,434 mil morskich (6,377 kilometrów), dzielącą Suez od Colombo.

ROZDZIAŁ II.

Cienie nocy pozbawiły nas przyjemności pierwszego wejrzenia stałego łądu po tak długiej przeprawie, i zepsuły wrażenie przyjazdu do Colombo. Było jeszcze ciemno, gdy „Calédonien“, pod kierunkiem doświadczonego pilota, między dwiema ogromnemi latorniami morskimi zawinął do portu i zarzucił kotwicę w przystani kolombijskiej.

O spaniu tej nocy nie było mowy, czemu zresztą i piekielna wrzawa, i hałas na pokładzie i mnogich łodziach krajowców, okrążających nowo-przybyły statek z Europy, mimo najlepszych chęci, byłyby stanęły na przeszkodzie.

W brzasku wschodzącego słońca ujrzeliśmy z pokładu po raz pierwszy wynurzające się z cieni nocnych, płaskie i palmami porośłe wybrzeża rajskiej wyspy.

Brzask trwa krótko w tych strefach i niebawem ognista kula słoneczna wychyliła się z za horyzontu na bezchmurnem niebie cudnego poranku i oblała złotym blaskiem jasnych promieni niebo, morze i piętrzące się przed nami, wzniosłe gmachy i domy stolicy Cejlonu.

Gwar i ruch niezwykle zapanowały na pokładzie naszego statku. Ajenci rozmaitych hoteli, urzędnicy pocztowi, napół nadzy kulisi, obładowani przeróżnemi wiktuałami na sprzedaż, poważni Syngalezi z grzebieniem szyldkretowym na kobiecej fryzurze, krzykliwi Moormani, czyli muzułmami cejlońscy, z tajemniczą miną zachwalający jakiś szafir ogromny lub rubin niezwyklej czystości, który częstokroć okazuje się kawałkiem prostego szkła w ręku oszukanego nabywcy,—cisną się, szturchają i starają się wzajemnie przekrzykować w ciżbie zdziwionych podróżnych, a wśród nich nowo-przybyły turysta nie wie, na co wprawdzie patrzeć i co wprzód podziwiać.

W zgiełku tym, różnobarwnym odszukaliśmy przybyłego na nasze spotkanie, dyrektora hotelu, p. von Raden, i w jego szalupie dostaliśmy się na ląd stały Cejlonu i niebawem rozkwaterowali się w położonym koło samej przystani, pysznym hotelu Great-Oriental, czyli G. O. H., jak go tu w skróceniu nazywają.

G. O. H. znajduje się pod kierownictwem pana v. Raden, Węgry rodem, który z niezwyklej zdolnościami dyrektora hotelu łączy, nadzwyczaj uprzejmą usłużność dla cudzoziemców i jest prawdziwą opatrnością dla nowo przybyłych turystów w tej odległej miejscowości Dalekiego Wschodu.

Sam hotel nie nie pozostawia do życzenia; położeniu nad morzem zawdzięcza stosunkowy chłód temperatury, pokoje ma czyste i przestronne, kuchnię dobrą i usługę wyborną. Szczególnie wieczorem

ogromna sala jadalna o śmiałej architekturze, w olbrzymich arkadach przez wysokość dwóch pięter się wznosząca, przedstawia barwny widok nowoczesnej elegancyi z wyraźną cechą egzotycznej krainy,—gdy liczne towarzystwo w wytwornych, wieczorowych toaletach zasiądzie do stołu w blasku światła tysiąca, pod ogromnemi punkami, czyli wachlarzami, wśród roju biało ubranej służby, której oryginalna fryzura i czarne twarze, o typie odmiennym od wszystkiego, co się dotąd widziało, stanowią malowniczy szczegół tego oryginalnego obrazu.

Na długiej linii wielkiego traktu handlowego między starym kontynentem a najdalszym Wschodem, niema punktu równie ożywionego, jak Colombo, pod względem ruchu komercyjnego i tysięcy statków tędy przejeżdżających, z których każdy musi się w Colombo zatrzymać i choć na krótko dla natarcia węgla w jego porcie zabawić.

Szczególnie w latach ostatnich, po ukończeniu, nakładem wielu milionów angielskich funtów sterlingów, sztucznej grobli kamiennej, czyli t. zw. „break-water“ strzegącej przystani od fal nawału, podniosło się Colombo do pierwszorzędного znaczenia najważniejszego portu tranzytowego w międzynarodowym trakcie światowego handlu i odniosło całkowite zwycięstwo nad dotychczasową stolicą wyspy Point de Galle, która równocześnie zaczęła upadać i w cieniu zapomnienia schodzić do roli drugorzędного miasta, zaćmiona blaskiem szczęśliwszej rywalki.

Ażeby dać wyobrażenie o tym jedynym może na

świecie ruchu międzynarodowym, który w Colombo nigdy nie ustaje, przytoczę fakt, którego byłem świadkiem: Jednego i tego samego poranku pięć olbrzymich parostatków pasażerskich zarzuciło kotwicę w kolombijskiej przystani, a każdy z innej części świata przyplynał, wszystkie zaś należały do angielskiego Towarzystwa, zwanego P. & O. Jeden przybył z Europy, drugi z dalekiej Australii przyciągnął, trzeci z nad brzegów Japonii, czwarty z chińskiego Shangai, ostatni wreszcie przyplynał z Kalkuty.

Można sobie wyobrazić ruch i gwar, jaki zaplanował w hotelu i na ulicach miasta od zastępu licznych podróżnych, którzy wszyscy, po nudnem życiu na statku, choć przez parę godzin tutaj rozerwać się pragną i stanowią pożądaną, w mgnieniu oka rozchwytywaną element dla miejscowych sklepów i bazarów, w których niemilosierdzie złupiają naiwnych często amatorów krajowych ciekawości.

Szczególnej handel t. zw. drogiemi kamieniami Cejlonu, stanowi dla sprytnych handlarzy muzułmańskich szerokie pole oszukańczych tranzakcyj, w których wymowny kupiec potrafi za dziesiątki funtów ubrać bogatego Australijczyka w kawał szkła czeskiego, za-miast wychwalanego szafiru lub rubinu.

Można tu wprawdzie znaleźć ładne i cenne okazy drogich kamieni, lecz potrzeba na to czasu i wprawy; co jest zresztą lepszego, idzie wprost do Europy lub bywa rozchwytywane przez kupców bombayskich dla dworów hindustańskich królewiał.

Punktem zbornym wszystkich podróżnych i ca-

lego kontyngensu zamieszkałych tu stale Europejczyków, są przestronne tarasy i chłodne werendy wielkiego hotelu, w którym mieszkamy.

Colombo leży na 7 stopniu szerokości północnej i bliskość równika dotkliwie czuć się daje. Tropikalny upał, spotęgowany jakąś ciężką, wilgotną dusznością atmosfery, nadaje tutejszemu klimatowi dziwne podobieństwo atmosfery cieplarnianej; termometr nie schodzi nigdy w dzień i w nocy poniżej dwudziestu kilku stopni Réamur'a, a wskutek niemal codziennych, ulewnych deszczów, powietrze jest tak przesycone wilgocią, iż rzeczy uchronić od niej nie można; suknie, skórzane i metalowe przedmioty, wszystko niemal pokrywa się brudną pleśnią. Bez punki, t. j. sztucznego powiewu i wiatru, czyli naturalnego przeciągu, wytrzymać tu trudno, a ujemne skutki kolombijskiego klimatu widać na bezkrwistych, białych, jakby wycieńczonych obliczach Europejczyków, szczególnie kobiet i dzieci, jeżeli tu dłużej mieszkać są zmuszone.

Zaraz po przybyciu rozpocząłem kampanię, w wytkniętym celu urzędującej wycieczki myśliwskiej w głąb wyspy, i ku wielkiej mojej radości wszystko ku temu ślicznie się składało.

Muszę tu znowu wspomnieć o panu v. Raden, który, dowiedziawszy się o moich projektach, niemało mi pod tym względem oddał usługi. Przedewszystkiem zarekomendował mi krajowca, nazwiskiem Solt, którego fachem jest urządzenie wypraw myśliwskich, i o którego zaletach jeszcze w Europie slyszalem.

Niespełna w godzinę po wylądowaniu, Soult był już u mnie w hotelu. Ułożyliśmy w głównych zarządach marszrutę i wyprawę, i zajęli się zaraz zakupem potrzebnych przyborów i zapasów do obozowego życia.

Wieczorem główna część przygotowań była na ukończeniu; pozostało tylko uzyskać od władz rządowych „licencyę“, czyli pozwolenie na polowanie na słonie, i zaopatrzyć się w potrzebne rekomendacye od gubernatora do komisarza rządowego prowincyi, w której mieliśmy polować.

Mimowoli przychodzą mi na myśl trudności, z jakimi miałem do walczenia w Indyach, nim przez wyjątkową grzeczność pułkownika Gerard'a dostałem się do miernych „Shooting-groundów“ około Goony; wiele zachodów, starań i rekomendacyj było potrzeba, nim do powyższego rezultatu w Indyach dojść zdołałem.

Na Cejlonie inaczej się dzieje. „Shooting-groundy“, czyli poszczególne rewiry, o ściśle określonych granicach i stosunkowo niewielkiej przestrzeni, nie są w nieczyjem, faktycznem władaniu; niema między nimi wielkiego wyboru, bo wyspa sama nie jest zbyt wielka i cywilizacyą ogarnięta; wojska angielskiego mało, a zatem mało oficerów, i co za tem idzie, mniej myśliwych. Nadto Cejlon jest jakby nie w modzie u angielskich sportsmenów, którzy go rzadziej w czysto myśliwskich celach odwiedzają, i nie bywa tu takich tłumów myśliwych, jakie rok rocznie do Indyi lub Afryki na łowy się wybierają.

Mając „licencyę“ od rządu i dobrego przewodni-

ka, jest się panem sytuacji, i każdy może sobie wyprawę urządzać, jak zechce i jak umie, a rezultat jej od stopnia tej właśnie umiejętności zależeć będzie. Bo zwierza jeszcze dużo, ilość słoni, dzięki ochronnym przepisom, wzмага się i łatwiej się do nich dostać, niżby się zdawać mogło.

Jedną z najprzyjemniejszych zalet Cejlonu dla myśliwego, który sobie wyprawę urządzać pragnie, jest kompletna niezależność od osób tu zamieszkałych, których pomoc, względnie obecność, naturalnie nie zawadzi, lecz się zupełnie bez niej obejść można. Dobry „shikari“, czyli myśliwy, jak Soult, gra tu główną rolę, i takiego sobie wynaleźć, lub z góry zapewnić, jest koniecznym warunkiem do urządzenia myśliwskiej wyprawy

Jako „shooting-ground“, wybrałem południową prowincję wyspy w okolicach Hambantoty, na wybrzeżu wschodnim, o której słyszałem i czytałem, że w najlepsze rewiry grubego zwierza obfituje.

Dobrze się składało, bo w następnym tygodniu miał właśnie wyruszyć z Colombo statek, okrążający wyspę wokół, który do Hambantoty zachodzi. Na nim postanowiliśmy udać się w drogę, a tymczasem pozostawał nam tydzień wolny do obejrzenia Colombo, jego okolic, i odbycia podróży do Kandy w celu złożenia rezydującemu tam gubernatorowi, wizyty i uzyskania od niego potrzebnych licencyj i rekomendacyj.

Spacer popołudniowy zaznajomił nas z miastem, jego położeniem i głównymi ciekawościami.

Colombo składa się, podobnie jak Bombaj i wszy-

stkie większe miasta kolonij angielskich w Indyach Wschodnich, z europejskiej części t. zw. Fortu i kilku przedmieść, które Fort otaczają i stanowią siedzibę ludności krajowej.

Fort kolombijski założony został w wieku XVI przez żeglarzy portugalskich, którzy pierwsi z europejskich narodów panami wyspy się stali i utworzyli tu jedną z największych swoich faktoryj na Ceylonie. Po nich przyszli Holendrzy, którzy przez półtora wieku na wyspie gospodarowali, aby w końcu ubiegłego stulecia ustąpić miejsca Anglikom; dopiero pod rządem tych ostatnich, Ceylon w całej pełni cywilizacyi z bogactwa swej ziemi zakwitnął i Colombo wzniosło się do znaczenia głównego emporium handlowego Dalekiego Wschodu.

W dzielnicy europejskiej wznoszą się główne gmachy rządowe, hotele, biura, sklepy i t. p. Za nią leży „Pettah“, czyli t. zw. „czarne miasto“ krajowców i przedmieście Colpetty z ogrodami i willami bogatych mieszkańców.

Ruch uliczny w dzielnicy krajowców daje ciekawy obraz rozmaitych ras i narodowości, z których ludność tubylcza się składa.

Przeważa Syngalez o wyraźnym typie aryjskim, z dziwną fryzurą długich włosów, ułożonych w węzeł z tyłu głowy i półokrągłym grzebieniem szyldkretowym na środku czaszki, co mu nadaje wygląd kobiecy, odpowiadający zresztą jego wrodzonej miękkości fizycznej i moralnej. Ubranie ich stanowi rodzaj spó-

dnicy kolorowej, około bioder okręconej; do pasa zwykle są obnażeni, albo przerzuconą chustką okryci.

Czarnego Tamila łatwo odróżnić po budowie ciała, świecącego się w słońcu, jak stopiony metal; znacznie też jest roślejszy i silniejszy od chuderlawego Syngaleza. Tamili przybyli na Cejlon z hindostańskiego kontynentu południowych Indyj, oraz z półwyspu Malajskiego i szybko się tu rozgościli. Zajmują się przeważnie cięższymi robotami fizycznymi, których leniwy i słaby Syngalez unika. Dziś liczą około miliona dusz tamilskiej ludności na wyspie, przy dwóch milionach Syngalezów.

Po nich najliczniejszy odłam ludności na Cejlonie i w samym Colombo stanowią Indo-Arabi, tu Moormanami zwani, potomkowie arabskich zdobywców, którzy przed dwoma tysiącami lat, w zamierchłej przeszłości, na Cejlonie się osiedlili. Wspominają o tem kroniki arabskie, wyliczając bajeczne bogactwa cudownej „Serendib“.

Dzisiejsi Moormanowie, wierni Proroka wyznawcy, odgrywają tu rolę Żydów w naszych miastach, skupiwszy handel większy i uliczny w swych rękach.

Wobec tych trzech głównych części składowych całej ludności na Cejlonie i w jego miastach, znikają prawie zupełnie inne narodowości, pojedynczo tu i owdzie rozrzucone, jak kulisi indyjscy, przejezdni Afgani, do łowienia słoni używani, Parzisy w celach handlowych z Indyj przybyli, wreszcie Europejczycy prawie wyłącznie Anglicy, których nie więcej, niż parę tysięcy na całym obszarze wyspy się znajduje.

Do tych ostatnich pragnęliby się zaliczyć t. zw. Burgery, czyli mieszańcy rasy krajowej z Portugalczykami i Holendrami, byłymi gospodarzami wyspy; jest ich około 10,000, a jednocześnie niektóre przywary białej rasy z ogólną ciemnotą i dzikością obyczajów krajowców, przedstawiają nieudatny produkt obu tych ras krzyżunku.

Przejażdżka po ulicach dzielnicy „Pettah“ pozwala wejrzeć choć pobieżnie w szczegóły życia domowego i domowych zajęć czarnych jej mieszkańców.

Jak zwykle na Wschodzie, dom a ulica są równoznaczne. Jak w latarni magicznej, przesuwają się przed okiem przechodnia sceny domowego życia, tysiącznych zajęć i drobnych szczegółów codziennej egzystencji licznej, 100,000 dusz wynoszącej, różnobarwnej ludności krajowej stolicy Cejlonu.

Domy, a raczej mizerne chaty, naoscież są otwarte; brak w nich drzwi i okien — lokatorowie więcej żyją pod gołym niebem, w skwarze palącego słońca, niż wewnątrz swoich mieszkań, których tylko do nocnego używają spoczynku.

Właściwością Colombo są oryginalne wózki, t. z. „riksza“, do krążenia po mieście używane. Wązkie siedzenie na jedną osobę, z ceratową budą, jako ochroną przed deszczem lub słońcem, osadzone na dwóch wysokich, cienkich kołach, tworzą ten dziwny ekwipaż, zaprzężony Tamilem lub Syngalezem, który biegnie wyciągniętym chodem i w niczem dobremu dorożkarskiemu koniowi w prędkości, a nawet wytrwałości nie ustępuje. Godzinami całemi biegają ci

ludzie równym klusem i wcale nie zdają się odczuwać zmęczenia. Rikszę importował do Cejlonu jakiś pomysłowy Anglik z Japonii, gdzie są w ogólnem użyciu.

Bazarom kolombijskim i wogóle całemu obrazowi ulicznego życia i ruchu, brak oryentalnego kolorytu, bogatych składów pysznych wyrobów krajowych i tej niesłychanej różnorodności ciekawych typów rozmaitych ras i narodowości z całej Azji, właściwych indyjskim metropoliom, z których szczególnie Bombaj słynie niezrównanem ożywieniem swych zasobnych bazarów i tłumnych ulic w dzielnicach krajowców.

Niema tu pysznych świątyń, złocistych pagód, arcydzieł architektury z ubiegłych wieków, ani wyniosłych pałaców dumnych Rajachów. Sielankowo tu wszystko wygląda, jakby wieś ogromna i ludna, w cieniu rozległych ogrodów i gajów ukryta.

Jedną ma właściwość Colombo, i Cejlon wogóle, którą góruje nad wszystkie niemal inne krainy, i której słusznie miano „rajskiej“ wyspy, tej „najdroższej perły w dyademie Hindustanu“, zawdzięcza: jest to niezrównane bogactwo niezrównanej i cudnej wegetacyi.

Ani pióro, ani pendzel nie są w stanie dać należytego pojęcia o roślinności, jaką tu od pierwszego kroku na brzegu wyspy podróżny spotyka i która go już nie opuszcza czy to w przejażdżce po ulicach wielkiego miasta, wijących się wśród klombów i gajów cudownych, czy w dalszych wycieczkach w głąb

wyspy aż do granicy górskich regionów lub do kresów dzikiej dżungli.

Najpiękniejszą częścią miasta jest dzielnica, zwana Colpetty, ciągnąca się na południe od Fortu, nieprzerwanym szeregiem najśliczniejszych ogrodów, wśród których rozrzucone, ładne wille, stanowią ulubione mieszkanie ludności europejskiej i zamożnych tubylców.

Tu leżą ogrody, zwane cynamonowemi, do uprawy rośliny tego nazwiska, a raczej korzenia, którego sprzedaż była do niedawna monopolem rządu angielskiego.

W pobliżu tych ogrodów wznoszą się najładniejsze wille w otoczeniu wyborowej flory, cudnych drzew i kwiatów.

Z pierwszych najliczniej jest reprezentowana palma, ta królewna drzewnej flory, w wielu różnorodnych gatunkach.

Najpospolitszy rodzaj, to palma kokosowa, do brodziejka uboższej ludności krajowej, która wszystkie jej części składowe umie dla siebie spożytkować, i której częstokroć kilka pni tego drzewa jedyny stanowi dobytek.

Obok niej wznosi się smukła „areca“ (*Areca catechu*), porównana przez poetów krajowych do strzały, z nieba zesłanej; owoc jej, kształtu małego orzeszka, jest ulubionym przysmakiem Syngalezów.

Dalej pożyteczny Kittul (*Caryota urens*), z którego soku słodkiego wyrabiają cukier i napój, do wina podobny,—wreszcie palma Palmyru i wiele innych

rodzajów, na których wyliczenie brak mi miejsca i znajomości.

Rozłożyste drzewa chlebowe (*Artocarpus integrifolia*), których owoc ogromny z pnia wyrasta i jakby do niego przyczepionym się zdaje, wspaniałe mango-sy, dziwne drzewa bawełniane (*Bombax*), śliczne banany (*Musa sapientum*), których owoc jest równie smaczny, jak pożywny, wysokie aroidy o olbrzymich liściach w formie strzały, tworzą dach najpyszniejszej zieleności we wszystkich odcieniach tego koloru, równie nad mizerną chatą ubogiego Syngaleza, jak w starannie utrzymanym ogrodzie nad elegancką rezydencją majątnego Anglika.

Pomiędzy tą zielenią dziwnie odbijają czerwone ulice i drogi miejskie, których barwa jasno-ceglasta od metalicznych zawartości tutejszej ziemi pochodzi.

Oddzielną część miasta stanowi dzielnica, zwana „Wyspą niewolników (*Slav-island*) — miano, zapewne datujące się z dawnych portugalskich, lub holenderskich rządów. Widok ztąd na otaczające jeziora, pokryte białym, lub różowym kwieciami lotosu, do najładniejszych w Colombo należy. Nad jego brzegami troskliwie utrzymywane ogrody tworzą jakby jeden park olbrzymi, w którego zieleni jaskrawe klomby kwiatów, malowniczo rozrzucone wille i dworki, oraz daleko, na kraju horyzontu widniejący łańcuch szczytów górskich, w głębi wyspy się wznoszący, składa się na czarowny obraz, jakby wycięty z opisu jakiejś fantastycznej krainy, z Tysiąca i jednej nocy.

Naprawdę siliłbym się wyliczyć i opisać to boga-

ctwo kwiatów, które z najwyższym kolorytem wszystkich tęczy odcieni, jakby w olbrzymiej cieplarni, rosną w zadziwiającej bujności na każdym niemal kroku, kędy okiem rzucisz.

Fioletowe i niebieskie Thunbergie, ognisty kwiat akacyi, śliczne lilie (rubiacęae, aristolohie), tysiące lian i powojów różnobarwnych i wiele innych, cudnie kwitnących roślin tej królewskiej flory, zbite w jedną masę kwiecistą, zlewają się w grę kolorów tak świetną i stanowią do całości krajobrazu ramy tak czarujące, że nie dziwię się najentuzjastyczniejszemu opisom „rajskiej wyspy“, tej „łzy perlistej na rżesie Hindostanu“, jak ją w dawnych czasach podróżnicy w uniesieniu przezwali.

Osobliwości, godnych widzenia, Colombo niewiele posiada; zabytków architektury — żadnych. Najciekawszą tu natura, której widokiem nigdy nasycić się nie można, a wiecznie się w niej coś nowego i nieznanego odkrywa.

Z pomiędzy osobliwości, które zwiedzić warto, wspomnę tu o muzeum historii naturalnej, które acz niezbyt bogate i wzorowo urządzone, posiada ładny komplet fauny cejlońskiej i specjalnie mię zajęło.

Colombo posiada kilka kościołów katolickich, fary pod wezwaniem św. Łucyi, i jest siedzibą arcybiskupa, którego dyceczya na cały Cejlon się rozciąga.

Zbawienny wpływ propagandy naszej wiary przez licznych misyonarzy, nigdzie może na Dalekim Wschodzie nie osiągnął tak wielkich i szczęśliwych rezultatów, jak na Cejlonie. Obecnie liczą na wyspie

200,000 katolików, po większej części między syngalezką i tamilską ludnością.

W kościele uderzyło mię skupienie i nabożeństwo, z jakim nawrócony krajowiec słucha Mszy świętej. W dniu świąteczne kościół jest przepełniony pobożnymi. Zdawało mi się, iż wzniosłej pojmują zasady i naukę wiary naszej od sąsiadów, Hindusów, których często miałem sposobność obserwować w kościele, w Indyach.

Wycieczka na Mount Lavinia, malowniczo położonego hotelu, rodzaju sanatorium na wzgórku morskiego wybrzeża, wśród zielonych gajów palmowych, należy do zwykłych ekskursyj każdego turysty, którą i my odbyliśmy.

Przed odjazdem statku, którym mieliśmy na wyprawę myśliwską do Hambantoty wyruszyć, kilka dni nam wolnych zostało, załatwiwszy więc w Colombo wszystkie potrzebne do ekspedycyi przygotowania, wybraliśmy się do Kandy, rezydencyi gubernatora, któremu pragnąłem się przedstawić i odpowiednie licencye na polowanie uzyskać. Można je wprawdzie otrzymać wprost od komisarzy rządowych poszczególnych prowincyj, na które Cejlon jest administracyjnie podzielony, i udzielenie takie nie jest bynajmniej wynikiem szczególnej łaski, ale zwyczajnym aktem administracyjnego porządku, o który każdy za złożeniem odpowiedniej kwoty, prosić jest uprawniony. Mając jednak listy polecające do gubernatora z Europy, wolałem sam mu je doręczyć i osobiście prosić o licencję, zapewnić sobie jego rekomendację do władz

prowinencyonalnych, co mi później nader pożytecznem się okazało.

Jest jedna poważna trudność, którą mniej więcej każdy w myśliwskich celach przybywający do Cejlonu, odczuje; jest to mianowicie kwestya namiotu, bez którego w życiu obozowem obejść się niema sposobu. Zabranie namiotu z Europy zwykle na myśl nie przychodzi; zresztą na kontynencie wcale go nie dostanie, na Cejlonie zaś niema ich na sprzedaż, i jedyne namioty na wyspie są w ręku oficerów lub urzędników, którzy ich bez interwencji gubernatora prywatnym osobom pożyczać nie mają prawa.

Kandy, po Colombo i Point de Galle, trzecie największe miasto na Cejlonie, leży o pięć godzin koleją żelazną od stolicy.

Droga prowadzi z początku przez uprawne pola ryżu i moczarowate łąki, przechodzi przez rzekę Kelanii Ganga, płynącą wśród ciemnych ścian wysokopiennej dżunglii dziewiczej, i od połowy drogi poczyną powoli pod górę się wznosić, przypominając mi nieco górską kolej z Kalkuty do Dardżilingu. Od stacyi Polgahawela druga lokomotywa pomaga nam pod górę się drapać.

Wjeżdżamy w regiony odmiennego krajobrazu górskich okolic. Stoki gór pokryte plantacyami herbaty i rośliny Kakao, nagie skały o fantastycznych kształtach piętrzą się w oddali; dziwna skała, t. zw. „sensacyjna“, stwierdza słuszność swego miana imponującym wrażeniem, jakie sprawia.

Widok wogóle ładny i interesujący, ale niemo-

gący iść w zawody z majestatem krajobrazem alpejskich regionów Himalajów, który w drodze do Dardżilingu przed zdumionem okiem przejeżdżającego, się roztacza.

W jasnym oświeceniu cudnego poranka widzimy w oddali, jakby migocące w błękitach przezroczystej atmosfery, kontury najwyższego na wyspie, gór łańcucha, w którym odróżniamy wysoki szczyt Adama, po kształcie smukłego wierzchołka w formie głowy cukru, łatwy do odróżnienia od innych.

Niema może góry na świecie, któraby od czasów zamierzchłej przeszłości taką rolę w legendach ludów odegrała, jak mityczny szczyt Adama na Cejlonie. Sama jego nazwa wskazuje, do jakiej epoki w dziejach ludzkości podanie się stosuje. Jak różnobarwne liany i powoje oplatają ozdobnym pierścieniem kwiatów wierzchołki olbrzymich drzew flory cejlońskiej, — tak legendy ludów otoczyły szczyt tej góry wieńcem religijnych podań i mitów bajecznych.

Miano rajskiej wyspy zawdzięcza Cejlon nie tylko cudom swej przyrody, ale i od dawien dawna rozpowszechnionemu podaniu, które miejscowość raję na Cejlon przenosi i nadając najwyższej jego górze nazwę pierwszego człowieka, wiąże legendę o nim z tym szczytem wyniosłym.

Na nim to miał Adam, po swym upadku, resztę życia w skrusze przepędzić. Kroniki chrześcijańskie z pierwszych stuleci naszej ery skrzętnie zanotowały to podanie, które nawet w t. zw. koptyjskim manuskrypcie Valentinusa z IV wieku odnaleźć można.

Powstały we trzy wieki później islam, przyswoił sobie chrześcijańską legendę o szczycie Adama: na nim to, według podań arabskich, pierwszy człowiek po wygnaniu z raju, przez archaniola był osadzony, gdy tymczasem grzeszna Ewa na dalekim Arafanie w pustyni arabskiej, opodal Mekki, ciężką swą winę odpokutowywać musiała.

Do dziś dnia czczą muzułmanie wyciśnięty jakoby w skale, na szczycie góry cejlońskiej, ślad stopy Adama, niby świętą relikwię.

Najdawniejsze jednak, bo na dwadzieścia wieków przed Chrystusem powstałe podanie, któremu szczyt Adama zawdzięcza swe religijne znaczenie, jako cel pobożnych pielgrzymek wielu ludów Azji, łączy się z kultem Buddhy, otaczającym ów szczyt pospół z całym szeregiem innych świętych mitów.

Na rajskiej wyspie objawił wielki reformator milionom kornych słuchaczy zasady swej nauki i tajemnicę Nirwany, oraz pozostawił na szczycie Adama, skąd do nieba wznosił się w obłokach, ślad swej stopy, jakby na wieczną pamiątkę bytności swej na wyspie.

Od owego czasu stała się góra Cejlonu pierwszorzędnem miejscem pielgrzymek licznych milionów wyznawców Buddhy; rok rocznie odwiedzają ją krocie tysięcy wiernych, wdrapując się mozolnie aż na sam wierzchołek, nazwany cudotwórczą „Szypadą“, co oznacza ślad świętej stopy wielkiego proroka z nad brzegów Gangesu.

Chińczycy mają odrębną legendę o szczycie

Adama. Persowie nawet wysnuli z bajecznych mitów o Aleksandrze Wielkim odwieczne, do dziś dnia w Persyi ustalone podanie, jakoby wielki zdobywca macedoński w swych zwyciężkach pochodach i o Cejlon zawadził i na szczycie Adama ślad swej stopy zostawił. Bramini przypisują go boskiemu Siwa, w Portugalii wreszcie istnieje, z czasów pierwszych zdobywców Cejlonu pochodząca legenda, że nie kto inny, tylko św. Tomasz, pierwszy apostoł naszej wiary na wyspie, pozostawił na niej pamiątkę bogobojnego swego żywota w postaci śladu swej stopy.

I tak walczą o zaszczyt tego śladu: indyjski Buddha i Siwa braminów, Aleksander Wielki i św. Tomasz, i pierwszy człowiek na ziemi — Adam. Ten ostatni o tyle odniósł w tym sporze zwycięstwo nad pozostałymi co do tajemniczego śladu, że nadał swe nazwisko legendowemu szczytowi. Prócz niego są też inne miejscowości na Cejlonie, nawiskiem Adama ochrzczone, np. most Adama, wązki pas ziemi, czy bloków skalistych, który niegdyś miał łączyć wyspę z hindustańskim kontynentem.

Do niedawna szczyt Adama uchodził za najwyższą górę na Cejlonie; dopiero nowsze badania wykryły, że musi on ustąpić pierwszeństwa jednej z gór środkowego łańcucha, która przewyższa szczyt Adama przeszło o 1,000 stóp i liczy ogółem 8,000 stóp wysokości.

Właściwością jego smukłej, wyraźnie od innych odbijającej się kopuły, jest ta odrębność formy i szczególne położenie topograficzne, które sprawia, że szczyt

Adama zewsząd niemal dojrzeć można, czy to z oceanu, zbliżając się morzem do wybrzeża wyspy, czy z jej środka, czy z regionów południowych, czy wreszcie z ulic Colombo, skąd przy jasnej pogodzie wyraźnie widzieć się daje.

Wdrapanie się na jego wierzchołek ma stanowić śliczną i niezbyt trudną dla turysty wycieczkę, której, niestety, z braku czasu i sposobności, odbyć nie mogliśmy i tylko zdaleka podziwialiśmy i pozdrawiali mityczny szczyt góry Adama.

Przed południem przybyliśmy do Kandy i stanęli w Queens Hotel, którego nazwa wszakże nie odpowiada przymiotom, jakie hotel królowej posiadać powinien. Nie jest on całkiem zły, ale daleko mu do komfortu i dobrej kuchni kolombijskiego G. O. H.

Wysokiemu położeniu zawdzięcza Kandy przyjemny klimat, podwójnie miły po dusznej atmosferze cieplarnianej w Colombo. Dzięki umiarkowanej temperaturze, stało się Kandy rezydencją gubernatora w pewnych porach roku i ulubioną siedzibą wielu Anglików, uciekając do górskich stref przed niezdrowym klimatem t. zw. „low-country“, czyli nisko położonych miejscowości.

Nazywają Kandy „grodem królewskim“, gdyż istotnie w ubiegłych wiekach rezydowali tu królowie rasy krajowej, dzierżąc rządy wyspy, nim obca potęga władzę ich skruszyła. Do niedawna jeszcze, bo do połowy bieżącego stulecia, utrzymać tu potrafił swą niezależność jeden z kandyjskich, krajowych władców, broniąc się w swym niedostępnym zamku wa-

rownym przed najazdem obcych, w których ręką cała wyspa już się znajdowała. Leczą i on pokonany został, i z czasów dawnej świetności pozostały tylko w pobliżu Kandy mury pałacu królewskiego, pozbawione zresztą wszelkiego architektonicznego i historycznego interesu.

Położenie Kandy śliczne; jedyna to ładna rzecz w tem mieście, którego okrzyczane piękności wydają mi się przesadzonemi. Miasto, a raczej główna, przez Europejczyków zamieszкана dzielnica, leży w malowniczej, górskiej kotlinie, wokoło sztucznego jeziora, tworzącego jakby jej centrum, wśród istnego lasu najpiękniejszych ogrodów i bujnej, wspaniałej wegetacyi.

Wokoło jeziora rozsiadły się główne budynki miejskie, hotele, biura, niedaleko pałac gubernatora w uroczym parku schowany, wreszcie największa ciekawość Kandy—świątynia Buddhy.

Po za tem ciągnie się miasto krajowców, a raczej rozległa wieś, przez tubylczą ludność zamieszкана.

Świątynia kandyjska, zawierająca najświętszą relikwię, bo ząb samego Buddhy, więcej obudza ciekawość jako obraz religijnych obrządków tysięcy ludzi, z całego świata budystów tu przybywających, aby choć raz w życiu złożyć ofiarę przed świętą relikwią, aniżeli jako dzieło architektoniczne lub artystyczne.

Sam budynek jest ciężki, masywny, stosunkowo nowy, bo z XVII w. pochodzący. Wewnętrzne deko-

racye i ozdoby nie są ani bogate, ani ładnie wykonane. Uderzyła mię para olbrzymich kłów słoniowych, ustawiona przed głównym ołtarzem, w którym za witryną jest przechowany ząb Buddy w szkatułce, drogiemi kamieniami bogato wysadzonej i nakrytej srebrnym dzwonem. W tejże witrynie jest posążek Buddy, z kryształu wycięty i bardzo pięknemi perłami i klejnotami ozdobiony.

Nabożeństwa odbywają się kilka razy dziennie; widok ich jest równie oryginalny, jak zajmujący. Służbę w świątyni pełni i modłami kieruje chmara wstrętnie wyglądających kapłanów budyjskich, których żółto-kanarkowe ubiory, w kształcie rzymskiej togi ułożone, i brzydkie twarze z ogolonemi głowami, nadają typ specjalny tej odrębnej kaście duchownych.

Liczna rzesza, przeważnie kobiety, klęczy kornie przed ołtarzem największej relikwii i składają jej ofiary z kwiecistych wieńców przy ogłuszającym hałasie tamtamów i rytmicznych śpiewów pobożnych.

Obcym wstęp jest dozwolony, i z wyjątkiem kapłanów, którzy złośliwie i z podębą, jak szakale, na białego spoglądają, krajowcy patrzą obojętnie na zwiedzającego ich świątynię cudzoziemca, byle się przyzwyoicie pośród nich zachowywał.

Wręczyłem swe listy polecające jednemu z adjutantów gubernatora i otrzymaliśmy niezwłocznie zaproszenie na obiad, dzięki któremu miałem sposobność poznać świat urzędowy angielski i jego szefa, reprezentanta królowej na wyspie.

Gubernator, sir Arthur Havelock, bardzo uprzej-

mie i szybko prośbę moją, co do licencyi, załatwił, a co do innych mych życzeń, skierował mnie do jednego ze swych urzędników, p. Murray'a, brata komisarza rządowego w Hambantocie. Nie mogłem lepiej trafić: telegrafował tegoż dnia o namiot dla nas, uprzedził o naszym przybyciu i jego opiece polecił.

Wszystko się więc jaknajlepiej składało.

Sam p. Murray należy do myśliwych czystej wody i za specjalność sobie obrał polowanie na słonie, w którym nabrał niezwyklej wprawy i doświadczenia. Objasniał mnie co do wielu szczegółów tego polowania i prawdziwą oddał przysługę, pokazując na żywym okazie swojskiego, koło miasta znajdującego się słonia, używanego do religijnych procesyj budystów, — miejsca w czaszce, do których celować należy. Poznanie anatomii łba słoniego jest koniecznym dla nowicyusza warunkiem dobrego rezultatu, jak się o tem w przyszłości miałem sposobność przekonać.

Gubernator, sir Arthur Havelock, nie jest ani myśliwym, ani wogóle sportsmenem, i dlatego, zdaje mi się, nie jest zbyt przez Anglików na Cejlonie lubiany. Trzy lata już sprawuje rządy wyspy, której administracya nie jest złączona z Imperyum Indyjskiem, tylko wprost centralnym władzom w Londynie podlega, i jako t. zw. kolonia koronna, posiada odrębne prawa, osobną administracyę, a nawet własną walutę.

Dwór gubernatora, stosownie do angielskiej zasady, we wschodnich posiadłościach przyjętej, otoczony pompą i etykietą, jest, ma się rozumieć, mniejszy

i mniej świetny, niż królewskie rezydencje anglo-indyjskich satrapów.

Rządy wyspy ograniczają się do wewnętrznej administracyi i krajowego gospodarstwa. Polityka, ani kwestye wojskowe i strategiczne nie komplikują spokojnych stosunków miejscowych. Cejlon leży na uboczu od wielkich zagadnień polityki międzynarodowej, których istnienie na burzliwym terenie rasowych walk i zawiści w sąsiednim Hindustanie coraz więcej Anglikom czuć się daje. Spokojna i prawie jednolita ludność wyspy nie wymaga licznych garnizonów ani wojskowych środków obrony i bezpieczeństwa dla rządów angielskich.

Na Cejlonie rezydują tylko dwa pułki angielskie; krajowego wojska regularnego niema, tylko milicya, z t. zw. ochotników cejlońskich rekrutowana.

Musiałbym powtórzyć zdanie, które w moich notatkach z Indyj *ex re* rządów angielskich w Cesarstwie Indyjskiem wspomniałem, chcąc mówić o tym samym przedmiocie na Cejlonie. Błogie skutki angielskiego geniuszu kolonizacyjnego na polu cywilizacyi, porządku i bogactwa krajowego, z powodu mniejszego obszaru, na którym są skupione, nigdzie wyraźniej nie uderzają, niż na Cejlonie, który słusznie za typ wzorowej kolonii uchodzić może.

Szczególnie pod względem środków komunikacyjnych, Anglicy zdają się hołdować zdaniu, wypowiedzianemu jakoby przez jednego z byłych ich wielkorządców kolonialnych i widocznie za maksymę swych rządów przyjętemu, że mianowicie pierwszym, najpo-

teżniejszym czynnikiem cywilizacyjnym danego kraju są dobre drogi, drugim do tegoż celu prowadzącym krokiem, również drogi, trzecim wreszcie jeszcze raz — dobre drogi.

W okolicach Kandy zaczynają się i rozległym obszarem ciągną się wzdłuż i wszerz całej wyspy wielkie plantacje kawy, rośliny kakao, a szczególnie herbaty, którym Cejlon swe bogactwo i handlowe znaczenie zawdzięcza. Z każdym rokiem cywilizacja zyskuje nowe przestrzenie i obecnie produkcja herbaty cejlońskiej sięga najwyższej, po Chinach, sumy eksportu tego towaru, szczęśliwie rywalizuje z takimiż plantacjami w sąsiednich Indyach, a nawet z Chinami podejmuje walkę konkurencyjną.

Do r. 1875 słynął Cejlon ze swych ogromnych plantacji kawy, uważanej za najlepszy gatunek w świecie, i handel tym produktem doszedł na Cejlonie do szalonych rozmiarów, gdy niespodziewana katastrofa zniweczyła raz na zawsze plantacje tej rośliny na wyspie, redukując je w obecnych czasach do mniej ważnej uprawy t. zw. kawy liberyjskiej.

Zjawił się był wówczas gatunek grzybka, niszczącego liście rośliny (*Hemileja vastatrix*), i mimo najrozsądniejszych środków zapobiegawczych, wymyślanych przez zwoływane ad hoc kongresy uczonych i botaników, podkopała ta kawowa filoksera sui generis uprawę kawy na wyspie, może na zawsze, rujnując krocie majątnych ludzi i bogatych domów handlowych. Dostyc powiedzieć, że przestrzeń pod kawą,

obliczona w r. 1878 na 275,000 akrów, spadła w r. z. na 35,000 akrów.

Prócz roślin, powyżej wspomnianych, słynne są cejlońskie plantacje kokosów, indygo, chin, bawełny, cynamonu i t. d. Dodajmy skarby, jakie rajska wyspa w tajemniczych głębiach swego wnętrza ukrywa, bogate kopalnie szafirów, rubinów i rozmaitych drogich kamieni, słynne perły w toni morskiej, u jej wybrzeża łowione, a dziwić się nie można, że dawna Taprobane starych Greków i Rzymian nosiła u ludów Wschodu nazwę „klejnotu w Indyjskim oceanie“.

Do ciekawości Kandy należy osobistość, która, zniknąwszy z areny politycznej, na której lat temu z górą dziesiątek, potrafiła zwrócić na siebie uwagę świata całego, obecnie zapomniana i opuszczona, pędzi smętny żywot, jako wygnaniec, na tej wyspie Dalekiego Wschodu. Jest nią Arabi basza. Więzień z pod Teb-el-Kebir, wygnany na Ceylon przez swych pogromców, mieszka tam już lat czternaście, z których dziesięć spędził w Colombo, a od czterech ostatnich przeniósł się do Kandy.

Mój znajomy, Anglik p. Blunt, przyjaciel polityczny Arabiego i jeden z głównych, acz ukrytych, aktorów wypadków, które zaszły w Egipcie wówczas, t. j. 1881 r., dał mi list, w Kairze, z prośbą o doręczenie go Arabiemu. Skorzystałem z okazji, aby przedstawić się osobiście tej zajmującej figurze, którą Europa przez chwilę była zajęta. Zastaliśmy go w jego willi, a raczej skromnym dworku, w otoczeniu licznej ro-

dziny i domowników, którzy dzielą z nim losy wygnania.

W schorzałym starcu, o bladej i smutnej twarzy, trudno się dziś domyślić egipskiego condotyera, obrońcy islamu, a który przed kilkunastu laty potrafił na chwilę zapalić w fanatycznych tłumach muzułmanów zarzewie „świętej“ walki przeciwko giaurom znienawidzonym. Zawody, tęsknota po kraju i przygnębienie moralne kompletnie go złamały, a dziesięć lat, przebytych w Colombo, dopełniły reszty, wyciskając piętno trawiącego klimatu na jego zmęczonem obliczu. Zrobił na nas wrażenie człowieka złamanego, który już nigdy sprężystości fizycznej ani moralnej odzyskać nie potrafi.

Mówi słabo po angielsku i słuch ma przytępiony, co rozmowę bardzo utrudnia. Wypytywał się nas skwapliwie o Egipt i ostatnie wypadki, z okazji rozterek Kedywa z oficerami angielskimi, które się właśnie podczas naszej bytności w Kairze rozegrały. Apatyczna twarz jego ożywiła się nieco w rozmowie, która go widocznie zajęła.

Przez otwarte drzwi ujrzał towarzyszącego nam na koźle powozu Fereka, który, jako były żołnierz i Sudańczyk, znał ze słyszenia nazwisko „wielkiego“ baszy i wielce był przejęty widokiem człowieka, któremu składaliśmy wizytę.

Arabi zapragnął zbliżka go zobaczyć; zajmującym było obserwować, z jaką czcią i uszanowaniem zbliżył się murzyn do Baszy i pozdrowiwszy go nisko

wschodnim zwyczajem, w rękę go pocałował i do swego czoła ją przyłożył.

Arabi, z widoczną przyjemnością, po arabsku z nim rozmawiał. Prosiłem go, aby przy okazji powiedział Ferekowi parę słów z zaleceniem, aby się dobrze sprawował i wiernie a uczciwie służył, sądziłem bowiem, że słowa z ust Baszy wywrą trwałe wrażenie na murzynie.

Dopiero w kilka miesięcy później dowiedziałem się od samego Fereka, że Arabi nie mu o tem nie wspomniał, tylko kilkakrotnie i dobitnie upominał go, aby choć w służbie u giaura nie dał się namówić do zmiany religii i pozostał zawsze wiernym Proroka wyznawcą. Widocznie wygnanie nie osłabiło fanatycznych uczuć egipskiego rebelizanta.

O sobie mówił Arabi, że nie ma już żadnych nadziei, ani widoków politycznych, pragnąłby się tylko wydostać z Cejlonu, którego klimat mu nie służy. Żyje z pensyi, którą mu rząd angielski wypłaca, ale którą mu widocznie nie wystarcza. W domu jego dziwnie ubogo i nieporządnie nam się wydało. Używa zupełnej swobody ruchów, tylko miejscowości opuścić nie może.

Pół dnia zeszło nam w Kandy na zwiedzeniu sławnego ogrodu botanicznego, zwanego Paradenia, który słusznie uchodzi za jedną z największych osobliwości Cejlonu i za najpiękniejszy ogród na kuli ziemskiej.

Paradenia leży o pół godziny drogi powozem od Kandy, nad dużą rzeką Mahawelli Ganga, której sze-

rokie koryto okraża część ogrodu, tworząc naturalną granicę tego rozległego, 150 akrów przestrzeni zajmującego parku. Prowadzi do niego aleja rozłożystych drzew gumowych (*Ficus elastica*), których płaskie, wysoko z ziemi wystające korzenie wiją się, gdyby węże olbrzymie, w koło pni tych drzew pożytecznych, z których soku kauczuk się wyrabia.

Wszedłszy do samego ogrodu, jest się niemal oszołomionym cudami i bogactwem flory, której komplet nie tylko z Cejlonu, lecz ze wszystkich krajów podzwrotnikowych widzi się tu razem zebrany.

Sam wygląd parku dodaje całości niemal uroku, gdyż nie znać w nim sztucznego układu botanika, wszystko zdaje się być dziełem precudnej przyrody, jakoby olbrzymia, naturalna cieplarnia, której niebo sklepieniem, a przyroda ogrodnikiem.

Cieniste klomby palm zawierają okazy niemal wszystkich, istniejących na świecie, gatunków tego drzewa. Zwracamy uwagę na górującą ponad inne palmę talipota (*Corypha umbraculifera*), która raz tylko w ciągu długiego żywota, w późnej starości jasnym kwiatem zakwita i zaraz potem schnie i umiera, jakby zużywszy wszystkie swe siły żywotne na wydanie tego kwiatu jedyne w ciągu swej długiej egzystencji.

Liście talipoty służyły dawnym Syngalezom, jak papyrus Egipcyanom, i dotąd ich używają na Cejlonie do wypisywania na nich religijnych sentencji i modlitw.

Olbrzymie bambusy, wspaniałe, w pnie grubych

drzew wyrosłe paprocie, rozłożyste banany, ogromne fikusy o tysiiącach korzeni, begonie, setki najrozmaitszych drzew ze wszystkich części świata, składają się na komplet flory drzewnej, jakiego drugiego nie ma na świecie. Nie chcę i nie mogę się kusić na opis tych dziwów, na których zwiedzenie dokładne kilku dni, nie zaś kilku godzin, potrzeba.

Wspomnę tylko o wspaniałem drzewie z Malakki (*Amhorstis nobilis*), którego kwiaty ogromne, czerwono-żółte, jak olbrzymie storczyki, szczególnie w oko wpadają, i o zabójczem drzewie z Jawy (*Avitarius toxicaria*); gdy pod niem spocznie nieostrożny podróżny, uśnie na wieki, otruty zabójczą wonią, którą kwiat, czy liście tego drzewa-mordercy wydają.

Storczyki, nie mówiąc o dziko rosnących, mają tu dom osobny, w którym wszystkie, pod równikiem istniejące gatunki, są reprezentowane. Najwięcej nam się podobała wspaniała orchidea meksykańska (*Cattleya gaskellana*), blado-różowego koloru.

Widzimy tu po raz pierwszy dziwną roślinę w formie niskiego krzewu, której kwiat do Napoleońskiego kapelusza jest podobny (*Napoleona imperialis*).

Osobny oddział w ogrodzie stanowi część, poświęcona kulturze roślin pożytecznych, jak kawy, herbaty, kakao i t. p., gdzie botanik-amator może śledzić szczegółowo sposób uprawy i rozmaite fazy ich rozwoju.

Ładne motyle i błyszczące owady ożywiają ten obraz cudownej flory. Świat ptasi bardzo nielicznie

i słabo jest reprezentowany: oprócz brzydkiej wrony i drobnych ptaszków zwyczajnych, nie spostrzegamy ani jednego ładnego okazu.

Paradenię założył jeden z gubernatorów angielskich w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia. Obecnie dyrektorem ogrodu jest Dr. Gardner, autor obszernego dzieła botanicznego, w którym oblicza okazy flory, w Paradenii skupione, mniej więcej na 5,000 gatunków.

Trzy dni zabawiliśmy w Kandy. Bardzo żalowałem, że nie zastałem w mieście rezydującego tam Monsignora Zaleskiego, Ablegata Stolicy Apostolskiej, naszego rodaka, którego dzieło o Misyach katolickich na Dalekim Wschodzie dobrze jest w kraju znane. Bawił on podówczas w Indyach, w Goa, gdzie odbywały się konferencje kongresu biskupów. Słyszeliśmy wszędzie jednogłośnie słowa sympatii dla tego dostojnika Kościoła, który umiał sobie na wysokim i niełatwym stanowisku, jakie piastuje, zyskać głęboki szacunek wszystkich sfer i ogólne uznanie dla skutecznej swej działalności.

O parę godzin drogi koleją i godzinę dyliżansem od Kandy, leży, wysoko w góry wysunięta miejscowość, zwana Nuwara Ellia, niby Dardżiling Ceylonu, tak, jak Kandy *mutatis mutandis*, z indyjską Simlą porównywać można. Ze względu na wysokie położenie (około 6,000 stóp nad morzem), klimat Nuwary Ellii uchodzi za najzdrowszy na wyspie, kwalifikujący tę miejscowość na ogólne sanatorium dla mieszkańców Ceylonu. Okolica ma być malownicza i warunki życia

bardzo mile. Nam już czasu nie starczyło na tę wycieczkę. Zresztą w lutym ma tam być tak zimno, że w nocy nieraz mróz wodę ścina; bałem się tedy po upałach kolombijskich narazić zdrowia przed rozpoczęciem wyprawy myśliwskiej na możliwe skutki zmiany temperatury i nieuniknione zaziębienie.

Powróciliśmy do Colombo na dwa dni przed odjazdem statku do Hambantoty. Soult powitał nas na dworcu dobrą nowiną, że wszystko już do ekspedycji gotowe, ludzie najęci, prowizye zakupione i t. d. Otrzymałem też telegram od p. Murraya z Hambantoty, że namiot i dwa kucyki wierzchowe są na nasze rozkazy. Pozostało mi jeszcze kilka ostatnich, drobnych czynności, jak przepakowanie rzeczy, amunicyi i wreszcie najęcie krajowej służącej dla mej żony, co, dzięki uprzejmości pani von Raden, bardzo szczęśliwie się udało. Czarna Syngalezka okazała się równie uczciwą sługą, jak zręczną pokojową. Nabrała wprawy w usługach u przyjezdnym pań europejskich, od których posiadała dobre świadectwa, i wyuczyła się płynnie po angielsku.

Kobiety ubierają się na Cejlonie podobnie jak mężczyźni; taka sama, około bioder okręcona spódnica z jasnego perkalu stanowi dolną część ubrania, t. zw. kambayę, nad którą Syngalezki noszą białe kaftaniki, Tamilki zaś prostą chustkę, przez jedno ramię przerzuconą. Te ostatnie odróżniają się też od Syngalezek mnóstwem złotych i srebrnych ozdób, które noszą w uszach, w nosie, na rękach i nogach.

W ubraniu Syngalezek pewne szczegóły mają

pochoǳić z czasów Holendrów; od ich kobiet czarne elegantki przyswoiły sobie niektóre mody. I tak, białe kaftaniki, chustki, w formie okrycia na głowę, jedwabne, szerokie spódnice i t. p. mają być holenderskimi naleciałościami. Istotnie w święto w kościele wystrojona wyższej kasty Syngalezka, wyjąwszy kolor skóry, rażąco przypomina z kostyumu holenderską wieśniaczkę.

Włosy kobiety noszą w tył zaczesane i w węzeł upięte, grzebienia zaś szyldkretowego używają tylko mężczyźni, i to kast wyższych, po większych miastach, po wsiach w głębi wyspy i u uboższej warstwy ludności widać zazwyczaj długie, rozpuszczone włosy.

W ostatniej chwili, za poradą von Radena i Soulta, zdecydowaliśmy się wysłać naprzód całą karawanę, t. j. багаż i ludzi, wprost z Colombo statkiem do Hambantoty, sami zaś nazajutrz do Point de Galle iść dostać i tam ze statkiem się złączyć. Zyskałiśmy przeto jeszcze jeden dzień pobytu w Colombo i uniknęli niepotrzebnej podróży morskiej do Point de Galle, które jest połączone z Colombo koleją, w trzech czwartych już ukończoną.

D. 14-go w południe odpłynął niewielki statek noszący nazwisko małżonki gubernatora „Lady Have-lok“, z całym naszym taborem ludzi i stosem pak, oraz kufrów, pod strażą Stefana, na swą „tournée“ południową, my zaś nazajutrz rano pożegnaliśmy Colombo i uprzejmych państwa Radenów, udając się koleją do Point de Galle.

Odległość między temi miastami wynosi 70 mil angielskich. Droga żelazna, nieskończona zupełnie, dochodzi do stacyi Ambalangoa, skąd ostatnich mil dwadzieścia dyliżansem do Point de Galle przejechać trzeba.

Kierunek drogi nie oddala się od morskiego wybrzeża. Przejeżdżamy okolice, gęsto zaludnione. Małeńkie, ciemne chatki krajowców ciągną się nieprzerwanem pasmem, tworząc jakby jedną, długą ulicę nad koleją, wśród gajów palmowych i bujnej roślinności, która do samego morza dochodzi.

Przejeżdżamy kilka rzek, nad których brzegami obraz wysokopiennej, ciemnej wegetacyi odmienną przybiera cechę. Szczególniej nad Kaluganga, jedną z największych rzek Cejlonu, lasy mangrowów, podszyte gęstą masą lian i powojów, przypominają mi ciemne knieje, które u podnóża Himalajów koło Sili-guri widziałem.

W Ambalamgoda przesiadamy się z kolei do „królewskiego dyliżansu“, którym resztę drogi odbyć musimy. Dyliżans „królewski“ jest to dosyć mizerny wehikuł o niewygodnych, twardych i wązkich siedzeniach, coś w rodzaju staroświeckich bryk pocztowych, które gdzieniegdzie do dziś dnia w naszym kraju kursują.

Para mizernych małych koników, utrzymywana batem i ciąglem nawolywaniem furmana w nieustającym tempie galopa, wlecze dosyć szybko za sobą ten niewygodny wehikuł, który tylko dzięki dobrej i równej szosie i nawyknieniu koni do trzymania się

środku drogi, unika rozbicia się w przyległych rowach i głębokich ziemi załomach. Krajowy autome-don o powożeniu nie ma pojęcia i uważa je widocznie za zupełnie niepotrzebną czynność furmana, używając wolno wiszących lejców wyłącznie do ciągłego popędzania mizernych szkapinek. Kołmi kieruje, o ile to bywa potrzebne na skrętach lub przy wymijaniu, adlatus furmana, zazwyczaj siedzący na stopniu koło dyszla; z zadziwiającą zręcznością w krytycznych chwilach zeskakuje, dobiega do łba pędzących koni i w ten sposób je skierowuje, a furmanowi tymczasem ani na myśl nie przyjdzie lejców przyciągnąć lub konie wstrzymać. Obowiązkiem adlatusa jest też wygrywanie na trąbce pocztowej rozmaitych aryj, jako sygnałów dla pieszych i przejezdnych, aby ustępowali z drogi „królewskiemu“ dyliżansowi.

Ostatecznie jedzie się nim szybko, tem więcej, że co cztery mile konie na zmianę czekają. W nie-spełna dwie godziny zbliżyliśmy się do Point de Galle i zdaleka ujrzelśmy w porcie przybyłą rankiem „Lady Havelock“, która w parę godzin później miała nas dalej na południe przewieźć.

Point de Galle leży na zachodnim brzegu wyspy, na skalistym cyplu, który daleko w morze wystaje, tworząc znakomity port naturalny, największym statkom dostępny. Dzięki temu portowi właśnie słynęło Point de Galle już w starożytności, jako najznaczniej-sze miasto Cejlonu, główna przystań dla zamiennego handlu między Zachodem a najodleglejszym Wscho-dem. Starożytny Tarsis Fenicyan identyfikują niektó-

rzy uczeni z dzisiejszym Point de Galle. Ta ostatnia nazwa pochodzi od syngalezkiego wyrazu „galle“, oznaczającego skałę, i portugalskiego „punto“ (point), czyli razem: skalisty cypel.

Położenie miasta jest nadzwyczaj malownicze. Półkolem roztacza się fort, czyli dzielnica europejska nad morską zatoką, a resztki murów starych baszt i wysokie wały nadają miastu wygląd warownej fortecy.

Po zbudowaniu sztucznej przystani dla statków w Colombo, rząd angielski usiłował zwrócić cały ruch handlowy z Point de Galle do Colombo, które, jako położone bliżej centrum wyspy i regionu plantacji, bezsprzecznie nadaje się więcej na stolicę i główny port całej wyspy. Dziś stało się to już *un fait accompli* i Point de Galle utraciło na rzecz szczęśliwego rywala dawne znaczenie stolicy i głównego punktu handlowego. Dziś Point de Galle pusty, zaglądają tu jedynie łodzie rybackie i małe statki lokalne. Wielkie parowce omijają go zupełnie; czasem tylko zawita *man of war*, czyli okręt wojenny, którego komendant woli odpocząć w spokojnem Point de Galle, zamiast w ścisku i gwarze kolombijskiej przystani.

Taki wypadek przytrafił się właśnie tym razem. Korweta austriacka „Saïda“ przyплыnęła skądś ze wschodu i w cichym porcie galijskim zarzuciła kotwicę.

Zajęło mi to, gdyż wiedziałem, że na jej pokładzie jeden z moich krewnych, oficer marynarki, odbywa podróż naokoło świata. Chcieliśmy go odwie-

dzie, lecz powiedziano nam, że korweta niebawem odpłynie. Na zwiedzenie miasta też nie było czasu; musieliśmy śpieszyć na pokład „Lady Havelock“, która o 4-ej miała wyruszyć.

Zastaliśmy na niej naszych ludzi i rzeczy w porządku i punkt o 4-ej, wśród rzęskiego deszczu, wicheru i grzmotów, podnieśliśmy kotwicę i skierowali na południe.

Równocześnie odpłynęła austriacka „Sařda“, zdążając na zachód. Patrzyliśmy długo za nią, aż znikła w ciemnej mgle zachmurzonego horyzontu.

Czas był okropny; morze wzburzone miało naszym statkiem, jak piłką. Fatalną noc przebyliśmy na „Lady Havelock“.

Bogu dzięki, że ta podróż nasza morzem niedługa: jutro o świcie mamy stanąć w Hambantocie.

ROZDZIAŁ III.

D. 16 lutego. Od dnia dzisiejszego zaczynam dziennik myśliwski.

Rano o 5-ej „Lady Havelock“ zarzuciła kotwicę naprzeciw Hambantoty.

Oprócz bielejącego na wzgórku, większego dwor-ku, rezydencji komisarza rządowego, jakiejs zrunjowanej baszty, zabytków dawnych czasów holenderskich, kilku nędznych chat i rozpiętych sieci rybackich na żółtym piasku wybrzeża, nie mogliśmy z pokładu okrętu odkryć śladu miasta Hambantoty.

Duża krypta, sterowana przez nagich krajowców o odmiennym od Syngalezów typie, okrążona chmurą dziwnego kształtu łodzi wąziutkich, zdaleka wystającym skrzydłem, t. zw. „catamaranów“, zbliżyła się do naszego parowca, i rozpoczęło się wśród niehumanicznych wrzasków, klótni i swarliwego szwargotu, mozolne wyładowywanie naszego bagażu. Mielśmy tego dosyć; pak, kufrów, łomoków i t. d. około czterdziestu. Jedne po drugich znosili krajowcy do krypy, ciężkie paki, z wodą sodową, trunkami i zapasami lodu, łó-

żka polowe, przyrządy kuchenne, zwoje mat kalipotowych, zapasy żywności, ryżu i kokosów dla ludzi, przybory do konserwowania skór i wypychania ptaków, wreszcie broń i amunicję, oraz nasze kufry osobiste.

Słońce już wysoko świeciło na niebie, gdyśmy razem z całym taborem znaleźli się w tejże krypie, a w parę chwil później na plecach krajowców dostali się na stały ląd piaszczystego wybrzeża.

Dom komisarza rządowego wznosi się tuż koło przystani, na wzgórk, i jakby dominuje nad okolicą.

Pan Murray przybył na nasze powitanie i uprzejmie do siebie zaprosił.

Hambantota leży na południowym cyplu wyspy na wschodniej jego stronie. Choć wydrukowana na mapie wielkimi literami, oznaczającymi stolicę prowincyi, nie zasługuje nawet na nazwę miasteczka. Kilkaset nędznych szałasów i chat, zamieszkałych przeważnie przez malajskich rybaków i „kulisów“, zajętych przy eksploatacyi soli morskiej, stanowi całą osadę Hambantoty.

Rząd angielski, mający na Cejlonie monopol soli, eksploatuje ją przez dystylację z jezior wody słonej, znajdujących się gęsto w okolicach Hambantoty, i utworzył w niej główny skład tego ważnego dla życia artykułu, a ztąd rozwożą go w głąb wyspy i dalej, aż do Indyi.

Hambantota jest jakby kresem cywilizacyi, *ultima Thule* Cejlonu. Za nią aż hen, daleko ku północy, roz-

ciąga się wzdłuż wschodniego wybrzeża przestworze dzikiej dżungli, cel naszej wycieczki.

Okolica tu brzydka, wegetacya mizerna i karłowata, wydmy piaszczyste i gęste, niskie krzewy składają się na obraz smutku i dezolacyi.

Cały dzień zeszedł na przygotowaniach do wyprawy, w czem niemało mi dopomógł p. Murray. Przedewszystkiem wyświadczył nam prawdziwą przysługę, pożyczając dużego i wygodnego namiotu rządowego.

Soult zakrzętnął się około najęcia bryk z wołami, dwóch koników wierzchowych, dość nieudatnych produktów miejscowej hodowli, i zgodzenia kilkunastu kulisów — tragarzy.

Pod wieczór wyruszyła cała karawana pod strażą Stefana do miejscowości o 14 mil angielskich odległej, gdzie mieliśmy się nazajutrz z nią złączyć.

Szło bryk siedm i ludzi trzydziestu. Poczët tych ostatnich składał się po części z Malajów, poganiaczy wołów, po części Syngalezów, z Colombo z nami przybyłych, lub w Hambantocie najętych.

Na każdą brykę liczą się cztery woły, z których dwa ciągną, a dwa na zmianę z tyłu luzem idą.

Hambantota i jej okolice są przeważnie zamieszkałe przez Malajów, przybyszów z Indyj i półwyspu tegoż nazwiska. Wiara, typem i ubiorem różnią się od Syngalezów, tworzą odłam ludności zupełnie odrębny i trudnią się przeważnie cięższemi robotami fizycznymi, do czego silna i muskularna budowa ich ciała szczególnie nadawać się zdaje.

Prócz poganiaczy wolów mieliśmy między Malajami starego Maulana, tropiciela, czyli traperę, który nam w ciągu całej wyprawy towarzyszył, lecz z powodu starości i słabego wzroku niewiele był pożyteczny.

W bryce z rzeczami osobistymi mej żony jechała gruba ayah, czyli krajowa służąca, której, sądząc po jej kwaśnej minie, nasze zabiegi w głąb dżungli widocznie niezbyt przypadają do smaku.

Wieczór mile nam upłynął w uprzejmem towarzystwie państwa Murray'ów i niejedną cenną wskazówkę i pożyteczną radę wyniosłem z długiej rozmowy z gospodarzem, który, przebywszy dwadzieścia sześć lat na wyspie, a większą część tego czasu w Hambantocie, łączył dokładną znajomość stosunków administracyjnych tego kraju z praktycznymi wiadomościami z dziedziny sportu, a szczególnie polowania na słonie.

17 lutego. Pożegnawszy państwa Muray'ów, opuściliśmy Hambantotę o świcie: my dwoje w bryce, a Soult, kilku coolisów i Ferek piechotą. Ten ostatni przypomniawszy sobie widocznie afrykańskie pochody, bo biegł wesół przed nami ze strzelbą na plecach, wyprzedzając daleko, zwolna wlokącą się brykę.

Dobra droga, rodzaj wąskiej szosy, ciągnie się kilka mil jeszcze poza Hambantotę, jakby ostatni ślad cywilizacyi, odprowadzającej podróżnego przed wkroczeniem do dzikiej dżungli. Za nią ustaje wszelka droga we właściwym znaczeniu tego słowa. Wąskie ścieżki, utarte gdzieś tam rzadko kursującymi po

nich brykami, stanowią jedyny ślad komunikacyi, możliwej tylko dla tak pierwotnych zaprzęgów, jakimi są dwukolowe bryki wołowe. Jedyny to sposób, acz bardzo niewygodny i powolny, podróżowania w tych stronach.

Droga ciągnie się wzdłuż morza; mijamy słone jeziora, i wkrótce dżungla obejmuje nas i wokół otacza. Ale mizerna to dżungla: brak w niej jakiegokolwiek wyższego drzewa, a przedewszystkiem wysmukłej palmy, której strefa ustaje daleko przed Hambantotą. Roślinność niska, gęsta, karłowata, zbita w gęstą masę ciemnego gąszczu tarniny, mirtu, kaktusów, euphorbii i t. zw. drzew mlecznych o grubym, mięsistym liściu, którego soku jadowitego, a białego, jak mleko, strzedz się należy, bo przy dotknięciu skórę przepala i rani.

Stada wodnych i brodzących ptaków, pelikany, śnieżne czaple, czerwonoogie kulony, kormorany ożywiają piskiem i gwarem słone jeziora, lecz nie zatrzymujemy się dla nich: śpieszno nam dalej. Pawie, przez drogę przemykające, przypominają mi dżunglę indyjską. Pawi tu mnóstwo, ale, jak gdyby wiedziały, że w kraju budyzmu nie stoją pod zasłoną kultu Brahmy, nadzwyczaj są ostrożne i z trudnością podejść się dają. Gatunek ich ten sam, co w Indyach i u nas (*Pavo cristatus*).

W południe dobijamy do Bundala, gdzie w rest-housie zastajemy Stefana z karawaną i przygotowane śniadanie. Rest-housy, czyli domki zajezdne, podobnie jak „bungalowy“ w Indyach, znajdują się wszędzie

koło dróg w Cejlonie, nie tylko przy wielkich traktach w głębi wyspy, lecz wogóle wszędzie, choćby w najnieodostępniejszej głuszy leśnej i są tam istną opatrnością dla podróżnych. Mniej wygodnie są urządzone, niż „bungalowy“ w Indyach; począwszy od Hambantoty, brak w nich nawet wszelkich sprzętów, kuchni i t. p. Ale i dach nad głową i cztery ściany wiele znaczą dla podróżnego, szczególnie w czasie sloty i pory deszczów. W każdym takim domku niezbędnym jest książka, do której podróżny zapisuje swoje nazwisko, dzień przybycia i odjazdu.

Pragniemy pierwszego dnia jaknajdalej się zapuścić, aby rychło dostać się do dobrych shooting grounds. Wysyłamy śpiesznie karawanę i po śniadaniu w ślad za nią ruszamy konno na najętych kucykach.

Odtąd już jakoś rażniej myśliwemu na sercu. Ptactwa coraz więcej, tropy jeleni i dzików krzyżują się w piasku; spostrzegamy nie bez pewnej emocyi pierwsze ślady słoni.

Dziwną i charakterystyczną cechą fauny cejlońskiej jest to, że zaczyna się ona pokazywać tam, gdzie ustaje cywilizacya i ludzkie osady. Różni się tem od fauny indyjskiej. W Indyach z okna pociągu kuryerskiego można spostrzedz nieraz stada antylop i gazelli, oraz bawić się widokiem wszędzie licznych papug i małp; na Cejlonie przeciwnie, od Colombo począwszy aż do kresu stron cywilizowanych i zamieszkaných, świat ptasi i zwierzęcy jest jakby wymarły. O ile wegetacya wszędzie pyszna i bujna, o tyle fau-

na słabo jest reprezentowana; jedynie brzydka wrona czarna (*Corone splendens*), gatunek kawki, wszędzie się uwija, psując raczej obraz wspaniałej roślinności, aniżeli uroku mu dodając.

Stary Maulan dostrzegł nad brzegiem stawku wylegiwającego się na słońcu, alligatora. Podkradłem się do niego i strzeliłem. Słyszałem wyraźnie uderzenie kuli o twardą skorupę cielską, ale zdołał, farbując, umknąć do wody, jak się to zwykle zdarza. Szcześliwej kuli potrzeba, aby bestię ubezwładnić na miejscu, ażeby się do wody nie dowlokła.

Przepławiamy się wpław przez bystro płynącą i głęboką rzekę Mahageni Ganga i na przeciwnym brzegu zabijam pierwsze na Cejlonie zwierzę w postaci małpy. Pierwszy i ostatni raz mi się to przytrafia, bo przykry widok postrzelonego zwierzęcia, które w ostatnich podrygach niemal ludzkim wzrokiem na zabójcę z wyrzutem spogląda i ludzkimi gestami za ranę się chwyta, odstręcza od tego łatwego, a bezużytecznego sportu.

Na Cejlonie żyją trzy, czy cztery gatunki małp, z których najpospolitszym jest *Semnopithecus cephalopterus*; do niego właśnie zabity przezemnie okaz należał. Licznemi stadami zamieszkują one najczęściej w pobliżu rzek i jezior, trzymając się cienistych konarów rosnących drzew kambuku i tamaryndy, wśród których śmieszne hopki i harce wyprawiają. Z niesłychaną zwinnnością i bystrością przeskakują z jednego drzewa na drugie, czasem, jak kule, spuszcza się na dół i znikają w zaroślach. Nie są zbyt ostrożne i dać

sposobność łatwego strzału. Przestraszone, w mgnieniu oka znikają powietrznemi szlakami, wśród trzasku i łomotu gałęzi; nieraz ten trzask ludzi myśliwego, który go bierze za łamanie w gęstwinie najgrubszego zwierza.

Przed zachodem dobijamy do Kirinde, naszego pierwszego etapu, i w rest-housie rozkładamy się wygodnie na nocleg. Rest-house w Kirynde nieco lepszy od innych domków zajezdnych w dżungli; posiada jako jedyny mebel, duży stół czworokątny, cały pokryty odręcznemi, wyrytymi w drzewie podpisami przejezdnych i myśliwych, którzy w swych pochodach tu odpoczywali. W licznym szeregu nazwisk odszukuję tylko kilka nieangielskich, a między niemi podpisy: księcia de Lucinge z Paryża, który przed dziesięciu laty kilkanaście słoni w te okolice ubił, niejakiego, Scheiblera, sportsmena włoskiego, znanego mi z Indyj który w tym roku z młodziutką małżonką miodowe miesiące w dżungli spędził, wreszcie inicjały jednego z książąt rosyjskich, który przed kilku laty polował w tych stronach.

18 lutego. Od Kirinde rozpoczynają się rewiry grubego zwierza i z ustaleniem obozowego życia normuje się rozkład dnia według marszruty, zastosowanej do myśliwskich celów naszej wycieczki.

Aż do dojścia do najlepszych kniei, sporo mil mamy jeszcze przed sobą, posuwamy się zatem śpiesznie, codziennie o jeden etap dalej, obierając kwaterę w najbliższym rest-housie, ilekroć na drodze naszej się znajduje. Południe wypada zwykle w połowie dro-

gi; wówczas cały nasz tabor kilka godzin odpoczywa i tam zwykle z nim się łączę, wyszedłszy przed nim z ostatniej kwatery i dżunglą pochód odbywając.

Polowanie na Cejlonie, a przynajmniej w południowej części wyspy, odbywa się w sposób nader prosty i łatwy. Nie potrzeba do niego ani całego aparatu naganki, której zresztą, z braku ludności w tych stronach, nie dałoby się zebrać, ani oznaczania miotów lub wyboru stanowisk, ani nawet podwód do dostania się do kniei: wystarczy dobry przewodnik i wytrzymała para własnych nóg, a odpowiednia broń i zręczna ręka reszty dokona.

Wychodzi się piechotą z obozu, dżungla tuż obok, niema ani wsi, ani osady, nawet pola, lub kawałka ziemi uprawnej, któryby ominąć lub objechać należało, nim się do kniei dostanie. Wzdłuż i wszerz, od Hambantoty aż do Kumbukkan-river, ciągnie się, kilku rzekami przecięty, od morza ku głębi wyspy, dziesiątki mil szeroki, jeden nieprzerwany obszar dzikiej dżungli. Jedna w nim tylko droga, o której wyżej wspomniałem, dostępna wyłącznie dla bryk, idąca równolegle z wybrzeżem morza, nad którym gdzieś niedziedzie rzucona osada napół dzikich krajowców, rybaków, zawiera nieliczną ludność tych stron zapadłych.

Tu Eldorado dla myśliwych, dziś bezsprzecznie najlepszy na Cejlonie rewir najgrubszego zwierza, który, uchodząc przed szerzącą się cywilizacją, ogarniającą szybko całą wyspę, cofnął się do tych, dziś już nielicznych, miejscowości, które, jak biała plama,

na karcie Cejlonu widoczne, oznaczają nieuprawne i niezamieszkane przestworza leśnej dżungli.

Naturalnie, że obszary te zostają w odpowiednim stosunku do wielkości wyspy i względnie wcale nie są tak bezdennie zapadłe i wielkie, jak np. dżungle indyjskie, lub choćby nasze puszcze i bory. Przestrzeń kilku lub najwyżej kilkunastu mil angielskich — oto zwykła odległość od jednego etapu do drugiego, a rejon polowania wokół poszczególnego obozu, stanowiący cel wycieczki danego dnia, nie przewyższa 4 — 6 mil w głąb kniei. Myśliwy pojmie, jakie nadzwyczajne ułatwienie dla polowania tkwi właśnie w tem zbliżeniu odległości, które mu daje możność szybkiego przerzucania się z miejsca na miejsce i pozwala nie trwonić drogiego czasu na mozolne jazdy lub forsowne marsze do kniei i z powrotem.

W cejlońskiej dżungli żyje się w jej sercu wśród najgrubszego zwierza, a namiot nieraz bywa na nocleg rozpięty w tem miejscu, gdzie wczoraj jeszcze słonie lub bawoły przy księżycowem przechadzały się światłem. Ta dostępność dżungli cejlońskiej, zamkniętej w niezbyt obszernych przestrzeniach naturalnych jej granic, a nadto zupełne odosobnienie od ludzi i cywilizacyi, ten urok nienaruszonej ręką ludzi, dzikiej przyrody, zapewnia jej, jako rewirowi myśliwskiemu, stanowczą wyższość nad wielu innemi krajami, choćby już ze względu na łatwość osiągnięcia w niej upragnionego celu.

Arsenał mój składał się z następującej broni: 1) z grubego sztucera 8-go kalibru o kulach stożkowych

ze stalowemi kończynami; 2) z ciężkiego ekspresa 20-go kalibru z takiemiż kulami o bardzo silnym naboju prochu; 3) ze zwyczajnego ekspresa 450, którego zawsze w domu używam; 4) ze strzelby systemu Colindian od Lancastera z Londynu, strzelającej śrótem, jak kulą; wreszcie 5) ze sztuczyka-ekspresa małego kalibru, na drobną zwierzynę.

Powyższy skład arsenału jest, według mego zdania, kompletem, jaki mniej więcej wystarcza na wszelkie polowania w każdej części świata. Byłaby się może przydała druga śrótówka, a nie zawadziłoby, jak późniejsze doświadczenie mnie nauczyło, drugi sztuciec grubego kalibru. Będę miał sposobność o tej, tak ważnej części ekwipunku myśliwego nieraz jeszcze powiedzieć. Nigdzie może kwestya broni nie gra ważniejszej roli, niż w dżungli cejlońskiej. Nie chodzi tu o to, żeby zwierza trafić choćby ładnym strzałem na daleki dystans. Myśliwy winien się zaopatrzyć w odpowiednie kalibry i dobrą amunicję, albowiem *musi* go powalić na miejscu, skoro chce zwierza dostać; szczególnie przy polowaniu na słonie jest to *conditio sine qua non* dodatniego rezultatu.

System polowania, jak wyżej wspomniałem, bardzo łatwy i mało skomplikowany. Myśliwy podejmuje świeży trop i trzymając się śladu, stara się zbliżyć do zwierza, czy to podchodząc go przed świtem w otwartym miejscu wypasu, czy w skwarze dnia blisko wodopoju, czy wreszcie, jak słonie, w gęstwinie ciemnej dżungli.

Dobry i doświadczony tropiciel, czyli traper, jak

go tu nazywają, gra główną rolę w tem polowaniu, a tropienie miejscami nie jest zbyt trudne, gdzie grunt piaszczysty, lub w pewnych porach roku rozmiękły po sezonie deszczów.

Tropienie jest regułą; w praktyce zaś połowę rozkładu, stanowiącego rezultat wyprawy, nie wykluczając ani słonia, ani bawołu, zawdzięcza się przypadkowemu spotkaniu zwierza podczas pieszych po dżungli wędrowkach. Już to trzeba lubić i umieć chodzić przy tym systemie polowania, które wyłącznie tylko pieszo odbywać można. Koń wierzchowy mało się przydaje, i tylko dla wygody i odpoczynku przy zmianie obozowiska przy szerszych ścieżkach użytym być może.

Lecz wróćmy do wypadków dnia bieżącego. O świcie wyruszyłem z Kirindy w towarzystwie Soulta, starego Maubana, jako przewodnika, Fereka i czterech kulisów. Ci ostatni są potrzebni do ewentualnego zabrania ubitej zwierzyny, Maulan i Ferek noszą swoją broń na zmianę.

Wkraczamy do dżungli, której wygląd od Hambantoty wciąż jednakże: ciemny gąszcz niskich krzewów i haszczów, gdzieś tam halawa, wysoką trawą porosła i klomby koleczastego mirtu i tarniny. Ostrożne i wrzaskliwe pawie umykają przed nami. Kogut leśny dziwnym i donośnym skrzekiem odzywa się w gęstwinie, czasem mignie się przed nami, głośno skrzydłami trzepocąc.

Kogut leśny, po angielsku „jungle fowl“ (Gallinaceus Lafayetti), jest zwykłym mieszkańcem dżungli

cejlońskiej. Zupełnie podobny do koguta domowego, uchodzi za protoplastę swojskich kuraków i tylko jaśniejszem piór ubarwieniem różni się od swego cywilizowanego krewniaka. Spotyka się go wszędzie, w głębi dżungli, w gęstwinie i nad ścieżkami. Szczególnie rankami rozlega się daleko skrzek oryginalny kogutów, jakby rywalizujących między sobą w swych głosów koncercie o względy słabszej połowy ich rodu. Przestraszone, rzadko zrywają się do lotu; przeważnie pieszo, szybko i zwinnie umykają w zarośla. Dla myśliwych kogut leśny stanowi, prócz ładnego okazu zwierzyny, pożądanę i smaczne pieczone.

Mnogie ślady grubego zwierza dowodzą, że jesteśmy już w rejonie, a w każdym razie na kraju obfitujących w zwierzynę, rewirów. Szczególnie nad brzegiem małych jezior i nawpół wyschłych kałuż stojącej wody z ostatnich deszczów, jest zadziwiająca ilość tropów.

Głębokie, okrągłe dolki, wyciśnięte olbrzymią stopą potężnych pachydermów, znamionują bliskość słoni. Trop bawołu krzyżuje się ze śladem jeleni i dzików; gdzie indziej łatwy do odróżnienia, okrągły trop lamparta wzbudza żądę spotkania się z tym pięknym gatunkiem krwiożerczego felida. Ale rzecz to trudna. Wyjątkowego szczęścia na to potrzeba, bo zwierzę ostrożne, tylko nocą z najskrytszych tajników dżungli na łowy się wychyla, i coraz mniej go jest na Cejlonie.

Nazywają go tu Anglicy „cheetah“, identyfikując go z tak zwanym „hunting-leopard“ indyjskim (*Felis*

jubata), o którym miałem sposobność w mych „Notatkach z Indyj“ dłużej wspomnieć z okazji polowania z lampartem na antylopy koło Hajderabadu.

Nazwa to jednak niewłaściwa. Lampart cejloński (*Felis pardus*) kształtem i wielkością od powyższego znacznie i zasadniczo się różni; jest od niego większy; wyjątkowo duże okazy omal że wielkości tygrysa dochodzą. Jest to właściwie, naukowo biorąc, to samo, co pantera, i historia naturalna oba gatunki jednym mianem nazywa.

Zupełnie odrębną odmianę stanowi czarny lampart (*Felis melas*), na Cejlonie czasem się trafiający; lecz jest on tak rzadki, że go do zwierząt łownych zaliczyć nie można, raczej do rzadkich okazów fauny egzotycznej, mających wielką wartość muzealną.

Krajowcy, ze względu na cenną skórę, zabijają lamparty, których coraz mniej jest na wyspie. Spotkanie się z niemi, jak z rysiem w Karpatach, od przypadkowego szczęścia zależy.

Gdziekolwiek okiem rzucisz po dżungli, wszędzie cię otaczają nowe dziwy cudnej i niezwyklej przyrody. Szczególnie w pierwszych dniach, gdy oko jeszcze nie przyzwyczajone do tego odmiennego świata, niewiadomo na co wprzód patrzeć i co bardziej podziwiać. Ogromne motyle o jasnych kolorach tęczy kołyszą się na łodygach traw i barwnych kwiatów, same do kwiatów podobne; niebieskie i zielone ptaszki błyszczą, jak szafiry i szmaragdy w blasku gorących słońca promieni; jakieś dziwnego kształtu owady snują się wokół; ogromne libelle, ogromne, jak ptaki,

brzęczą w powietrzu; płazy o fantastycznych lebkach, przesmykają w zaroślach, lub pełzają po drzewach; brzydkie iguano, czyli duża jaszczurka, podobna do krokodyla w miniaturze, z hałasem pomyka przed nogami i niezgrabnymi ruchy w najbliższej kałuży ukryć się usiłuje; wszystko to składa się na obraz oryginalny, dziwny i ciekawy.

Podajemy świeży trop pojedynczego słonia i idziemy jego śladem. Stary Maulan nas prowadzi, a choć nie należy do najlepszych trakerów, mam sposobność podziwiać jego spryt, zręczność w tropieniu, które stanowi główną część polowania na słonie i zwie się w tym razie u Anglików „elephant tracking”. Podjętym tropem dojść do słonia tak blisko, aby mógł uchwycić sposobność do strzału — oto w krótkich słowach treść polowania na słonie. Lecz ileż to tysięcy przeszkód zdarza się przy wykonaniu tego zadania! Ileż odcieni i szczegółów zawsze odmiennych w każdym poszczególnym wypadku, ile wprawy trakera, ile zimnej krwi, spokoju i zręczności, a nieraz energii i odwagi u myśliwego potrzeba, aby wszystko, zlane w harmonijną całość prawego myślistwa, złożyło się na rezultat dodatni tego niezrównanego sportu, jakim jest polowanie na słonie. Kierunek wiatru, konformacja terenu, topografia okolicy, przypuszczalne osądzenie jakości zwierza, będącego celem tropienia, t. j. czy się ma do czynienia z pojedynczą sztuką, czy też z całym stadem — oto główne motywy, które mi dobry traker kierować się musi. Wprawa reszty dokona.

Rola myśliwego w tym pierwszym akcie całego dramatu jest podrzędna. O ile możności, cicho i zgrabnie posuwać się winien za tropicielem, trzymając się go jaknajbliżej, unikając niepotrzebnych zapytań, rozmowy i t. p. Dopiero, gdy do zwierza tak już blisko, że go ujrzyć można, akcja samego myśliwego występuje na plan pierwszy.

Szybkie zrekenoskowanie terenu, ostatnich kilku kroków, uchwycenie chwili, do strzału dogodnej, wreszcie sam strzał—oto zadanie myśliwego, które łatwiej określić, aniżeli wykonać. Emocya, pośpiech, pewne, mimowolne wzruszenie, wywołane bliskością kolosalnej bestyi, wreszcie u nowicyusza brak wprawy przy spotkaniu się oko w oko z tą niezwykłą zwierzyną, często działają ujemnie na wynik ostateczny.

Zwierzę na miejscu powalić, to kardynalna zasada polowania na słonie w dżungli cejlońskiej; aby zaś na miejscu je powalić, należy, prócz odpowiedniej broni, wiedzieć, gdzie celować. Otóż jedyną częścią organizmu słonia, której naruszenie spowoduje śmierć natychmiastową, jest mózg. Ale tak głęboko jest on w czaszce schowany i stosunkowo do olbrzymich rozmiarów łba tak mały, że kula w pewne punkta w czaszce, ściśle określone, trafić musi, aby do mózgu dotrzeć.

Mózg słonia waży dziewięć funtów angielskich i objętość jego nie jest większa od główki dziesięcioletniego dziecka. Przyroda jakby umyślnie umieściła mały jego volumen w samej głębi czaszki,

jakby pragnąc pod osłoną kolosalnych kości uchronić wspaniałe i potężne zwierzę od zagłady przez kulę zdradziecką. Cały wierzch czaszki u słonia jest wypełniony krwionośnymi naczyniami formacyi cellularnej, których przestrzelenie wcale zwierzęciu nie szkodzi i tylko chwilowe jego ogłuszenie spowodza. Kula, powtarzam, musi mózg naruszyć, aby zwierzę powalić. Każdy inny strzał w łeb, gdziekolwiekby trafił, nie jest w stanie słonia ubezwładnić, i zwierzę szybko się od niego wyleczy; ta ostatnia okoliczność jest nader dodatnią stroną polowania na słonie. Miejsce, w które trzeba celować, chcąc słonia odrazu powalić, zależy od linii, w której myśliwy się znajduje w stosunku do zwierzęcia. Najpewniejszy jest strzał z boku między okiem a uchem; mniej pewny z frontu—nizko w czoło, bo przestrzeń, w którą trafić należy, aby kula się nie zgubiła w wierzchnich cellulozach, jest bardzo mała i wązka; śmiertelny wreszcie jest strzał z tyłu za ucho, gdy myśliwy stoi za słoniem, ale ten strzał wymaga największej wprawy, bo w fałdach ogromnych uszu łatwo zmylić kierunek potrzebnego kąta, i kula często powierzchownie się prześlizgnie, nie czyniąc szkody zwierzęciu. Hr. Teleky, słynny eksplorator afrykański, rozmawiając raz ze mną o polowaniu na gruboskórcę, nazwał strzał do słonia „strzałem matematycznym“ i nie mógł trafniej się wyrazić.

Naturalnie, dobry strzał w komorę jest śmiertelny, ale widziano słonie z kulą w sercu, które parę mil jeszcze umknąć zdołały, nim padły bez życia,

zmuszając myśliwego do strasznie mozolnego szukania postrzałka, co w dżungli cejlońskiej bardzo jest trudne, jeśli wręcz nie niemożliwe. W Afryce, gdzie teren zazwyczaj jest równy i otwarty, gdzie się strzela do słonia na kilkadziesiąt kroków i okiem daleko śledzić go można, uchodzi dobry strzał komorowy za równie odpowiedni, jak strzał w łeb, ale w dżungli cejlońskiej lub indyjskiej, jedynie ten ostatni pożądaný rezultat zapewnić może, i choćby dlatego jest prawidłowy, że zwierzę, strzelone w ciało, prędzej czy później zginie od kuli, kaleczącej płuca lub wewnętrzności i przepadnie dla myśliwego, a słoń, strzelony w łeb, niepoległy na miejscu, zazwyczaj z rany wychodzi.

Co do broni na słonie, zdania są podzielone. Sir Samuel Baker, najstarsza powaga w świecie sportowym Albionu, który pół wieku temu rozpoczął swą karierę myśliwską na Cejlonie, twierdzi, że najgrubszy kaliber sztućca i pełna, okrągła kula z czystego ołowiu stanowią najskuteczniejszą broń na pachydermy; młodsza zaś generacya myśliwych pod egidą kapitana Selonsa, który w ostatnich latach fenomenalne rezultaty łowieckie w Afryce osiągnął, wychwala przymioty ekspresa i uważa go za najprzydatniejszy gatunek broni na wszelki rodzaj zwierzyny, stosując naturalnie odpowiedni kaliber i silny nabój prochów do kul stożkowych o kończynach stalowych. Brak mi kompetencyi do wzięcia udziału w tej fachowej dyskusyi; sądzą, że każda kula swoje zrobi, byle dobrze trafiła. Ekspres posiada niezaprzeczenie ważny przymiot lżejszej wagi, co do trafności strzału niemało

się przyczynia, a byle nabój prochu był bardzo silny, zdaje mi się, że skutek jego kuli będzie równy pociśkom t. zw. kościo-druzgotaczy, jak Anglicy grube kalibry nazywają (bone-smasher) ¹⁾.

Zatrzymałem się dłużej nad powyższym tematem, lecz sądzę, że dla zrozumienia i objaśnienia mało u nas znanego polowania nie zawadziło podać kilka ogólnych uwag, które każdego myśliwego zająć i pewne wskazówki dla własnego użytku ewentualnego amatora zawierać mogą.

Wracam do naszego słonia, za którym Maulan nas prowadzi. Nie tyle pod nogi, ile w górę on pa-trzy. Zerwany listek, złamana gałąź, krople wilgotne

¹⁾ Po powrocie do Europy, bawiąc w Londynie, widziałem u pierwszego dziś w Anglii rusznikarza, Holland i Holland, nowy rodzaj sztućca, który jednocząc w sobie wszystkie zalety znakomitej broni, wydał mi się „nec plus ultra“ sztuki rusznikarskiej. Jest to sztuciec bardzo małego kalibru, nazwany „303“, z kulą niklowaną i nabitą masą strzelniczą, zwaną rajflitem. Broń bardzo lekka, zgrabna, ślicznie wykonana; strzał ma być tak akuratywny na dalsze dystanse i skutek kuli tak straszny, że ten nowy rodzaj sztućca, od niedawna zresztą skon-struowanego, ma zastąpić z czasem wszystkie inne, będąc zdatnym do użycia równie na drobniejszą zwierzynę, jak i na najgrubsze pachydermy. Jakiś sportsmen angielski wybrał się umyślnie do Afryki, celem wypróbowania tej broni, i powróciwszy, zdawał sprawozdanie z rezultatów swej wycieczki, stwierdzającej doskonałość nowego „303“, z którego, między innemi, pięć słoni-powalił. Jedyną trudność stanowią ładunki, które ze względu na niebezpieczeństwo przy obchodzeniu się z palną masą, z Londynu gotowe sprowadzać trzeba. Zamówiłem parę tych sztucców i bardzo ciekaw jestem rezultatu użycia ich w naszych kniejach.

śliny z trąby zwierzęcia, sącząca się ciecz z oberwanego liścia mlecznego drzewa, wiele innych dla niewprawnego oka niedostrzegalnych drobnostek, to jakby drogowskazy dla zręcznego tropiciela.

Słonie, całą noc żerując, rankami z otwartych miejsc wracają do gąszczu i wyszukują najgłębszych i najciemniejszych ostępów, by w ukryciu od palących promieni słońca parę godzin najgorszego skwaru w nich przebyć. Przedtem zachodzą zwykle do wodopoju, do którego pod wieczór drugi raz wracają. Kroczą w dżungli powoli, zrywając gałęzie i liście, które im szczególnie smakują, a gdy dojdą do kniei, w której przez dzień zatrzymać się pragną, oblamują naokoło drzewa i gałęzie i wyścielają sobie wygodne miejsce odpoczynku. Do snu słoń albo się kładzie na ziemi, albo też, co się częściej zdarza, śpi w stojącej pozycji, oparty o drzewo, i nieraz chrapie donośnie, zdradzając tem zdaleka swą obecność. Słonie zwykle chodzą stadami, po kilka i kilkanaście sztuk, a nocną porą, jak powiadają, zbijają się w większe tabory. P. Murray opowiadał mi, że razu jednego przed laty, wśród księżycowej nocy, widział stado, z kilkudziesięciu sztuk złożone, gdy schodziło na brzeg wielkiej rzeki, dla użycia w niej kąpieli. Tyle ich było, że się nie mógł ich doliczyć. Naturalnie, że dawniej znacznie więcej ich było, niż obecnie.

Stare samce, t. zw. po angielsku „Bull“, czyli byki, chodzą zwykle pojedynczo i takie właśnie sztuki stanowią najpożądany cel polowania. Łączą się niekiedy ze stadem lub w pewnem oddaleniu za niem

postępują, lecz zwykle same żerują i pojedynczo w lesnej ciszy odpoczywają.

Miedzy bykami trafia się niekiedy t. zw. „rogue“, czyli słoń-złośnik. Samotne życie, a może i inne niezbadane, fizyologiczne przyczyny wyrabiają w danym osobniku charakter tak zły, gwałtowny i niesforny, że go towarzysze z pośród siebie wykluczają i dostępu do stada wzbraniają. Im dłużej taki banita słoniego rodu sam pozostaje, tem bardziej charakter mu się psuje i w końcu staje się niebezpiecznym „rogue“. Słoń-złośnik jest równie zły jak ostrożny, i biada okolicy, w której „rogue“ się zjawi! Jakaś mania destrukcyi go opada, zbliża się wówczas do osad ludzkich, napada na mieszkańców, niszczy i tratuje ich mienie i dobytek, rzuca się na bezbronnych przechodniów, a przytem tak jest rozumny i ostrożny, że się myśliwym, w należytą broń opatrzonym, z trudnością podejść daje. Opowiadają, że złośniki czatują nieraz nocami po traktach pocztowych i drogach publicznych i, wypadając znienacka z gąszczu, wywracają bryki, tratuja ludzi i sieją wokoło postrach i zniszczenie. Dziesiątki ludzi padają nieraz ofiarą rozjuszonych bestyi, przed którą obronić się trudno.

O zjawieniu się „rogue’a“ w danej okolicy ogłaszają urzędowymi komunikatami dla przestrogi podróżnych i mieszkańców, wyznaczają nagrodę za jego uбиcie i urządzają formalne wyprawy pod wodzą najdzielniejszych i najdoświadczeńszych myśliwych. Polowanie takie jest niesłychanie niebezpieczne i wielu tegich łowców swą odwagę życiem przypłaci-

ło. Myśliwy, wobec wściekłego olbrzyma, jest na jego łasce lub niełasce, bo złośnik umyślnie czatuje w gąszczu na ofiarę i pierwszy na nią się rzuca, odejmując możność obrony lub ucieczki. Mówią, że „rogue“ zawsze chodzi w kierunku wiatru, nie dając tym sposobem myśliwemu możności niepostrzeżonego podejścia do siebie.

Czem „man-eater“ między tygrysami, tem jest „rogue“ między słoniami; na szczęście mieszkańców, rzadko on się ukazuje. Za naszego pobytu na Cejlonie miał być jeden niedaleko od Kandy. Naturalnie, że cała kolonia sportsmenów angielskich była tam zająca i kilku wybierało się na niego, a między innymi nasz znajomy z Kandy, p. Murray, brat komisarza rządowego w Hambantocie.

Nasz stary Maulan kręcił i wodził nas spory kawał po dżungli, lecz do słonia doprowadzić nas nie zdołał. Odstąpiliśmy wreszcie od dalszego tropienia i na południe zdążyli do miejscowości, Palutupane zwanej, gdzie w rest-housie zastałem cały nasz tabor już rozłożony i śniadanie przygotowane. Dzisiejszą noc mamy tu spędzić. Po południu wybraliśmy się oboje na śliczny spacer do poblizkiej dżungli, tuż nad morza wybrzeżem. Ślady słoni coraz gęstsze, pokręcone gałęzie, potrzaskane drzewa i pnie połamane, świadczą o przechodach olbrzymich gruboskórców. Szczególną antypatyę zdają się żywić do drzew mlecznych i jakby mszcząc się za sok jadowity ich liści, których spożywać nie mogą, pastwią się nad nimi specjalnie,

łamiąc je i tratując, gdziekolwiek na drodze im się trafia.

Nad słonem jeziorkiem ubilem dwa białe szczudłaki czerwono nogie, czarnoskrzydłe z czerwonymi oczyma (*Himantopus candidus*) i w klombie tarniny udało mi się strzelić koguta leśnego, który, wskutek swego uderzającego podobieństwa do swojskiego kuraka, dziwne robi wrażenie na tle dzikiej dżungli.

Wążka ścieżynka wyprowadziła nas na sam brzeg morza i, wdrapawszy się na stromy pagórek, mieliśmy przed oczyma najpiękniejszy krajobraz, jaki sobie wystawić można.

Słońce miało się ku zachodowi. Ognista jego kula znikwała za horyzontem, gdy równocześnie srebrna tarcza księżyca wynurzała się z oceanu, którego przestwór mieliśmy przed sobą. Za nami, jak daleko okiem sięgnąć, jedno nieprzerwane morze zieleności; hen, daleko w głębi wyspy, na tle horyzontu rysują się niebieskawe kontury górskiego łańcucha, w którym oko więcej odgaduje, aniżeli odróżnia wysoki szczyt Adama. To limita dżungli, pozatem kraj ludny i cywilizowany.

Fale z łoskotem dalekiego grzmotu rozbijają się o granitowe skały wybrzeża, rozpryskując się na miliardy atomów białej piany. Czarne glazy granitu wyraźnie się odbijają od białego piasku wybrzeża, na którym widać liczne tropy słoni i przeróżnego zwierza.

Jednostajny, nigdy nieustający szum morza zlewa się z panującą wokół ciszą w całość jakiegoś dziwnie przejmującego spokoju natury, niezmaconego

żadnym głosem, psującym urok kompletnej ciszy tego ziemi kawałka.

Kto nie widział podobnego krajobrazu w tem otoczeniu wspaniałej przyrody w bliskości mateczników najgrubszego zwierza, nie pojmie może tego dziwnego uczucia, niezwykłego jakiegoś czaru i uroku, które każdego, a szczególnie myśliwego przejmują wobec majestatu dziewiczej przyrody. Wzrok sięga daleko przez dżungli przestworza, jakby pragnąc przeniknąć najskrytsze jej tajniki; rozbudzona wyobraźnia łączy się z myślą, przebiegającą lotem błyskawicy bezdenne przestrzenie, dzielące te ziemie od własnego kraju; mimowolnie ogarnia człowieka uczucie strasznej samotności, której ciszę przerywa tylko niekiedy grzmotu loskot, lub wycie wichru z bezbrzeżnego oceanu.

Odurzeni wrażeniem jedyne go w swoim rodzaju obrazu, zatopieni w myślach, wracaliśmy do kwatery, gdy niemiły wypadek zakończył tak przyjemny nasz spacer.

Szliśmy oboje naprzód, za nami Soult, niosący mój ekspres mniejszego kalibru, i liczna świta z bronią i amunicją. Wtem Soult jęknął przeraźliwie i, obejrzawszy się, zoczyłem, jak oburącz uchwycił strzelbę za lufę, kolbą o ziemię uderzył. Biedny mój sztuciec pękł w rękojeści na dwoje, a znikający w zaroślach ogon dużego węża wyjaśnił mi całe zdarzenie.

Soult omal nie stąpił na leżącego w poprzek ścieżki, jadowitego węża, zwanego po krajowemu Tikpolonga (*Vipera Russelii*), o którym mówią, że skacze,

jak pies, na swą ofiarę i śmiertelnym jadem ją zatrutowa. Bosi krajowcy boją się panicznie tego niebezpiecznego gada, czemu się zresztą dziwić nie można. Soult tak się przestraszył na widok węża, który, jak mówi, ku niemu podskoczył, że straciwszy głowę, nie mając w ręku innej broni, sztucem chciał go uderzyć. Wąż umknął i skrupiło się na biednym mym ekspresie Lebedowskim, który szesnaście lat służył mi wiernie i celnie, od kiedy strzelbę nosić się nauczyłem, aż do obecnej chwili; zawsze go w kraju używam i każdą niemal sztukę ubitej, grubej zwierzy-ny jemu zawdzięczam. Szczerze mi się żal zrobiło pocziwego towarzysza tylu wspomnień myśliwskich, który na obcej ziemi, w ręku niezdarnego Syngaleza swą karierę zakończył. Pocieszam się myślą, że w Europie odżyje z nową kolbą w warsztacie Lebedy lub Springera.

Soult mocno się zawstydził swego nieprzytomnego zachowania się, które ostatecznie sensu nie miało, bo wystarczyło od węża w bok uskoczyć, a nie narażać cennej broni, która, uderzając całą siłą o twardey grunt skalisty i będąc nabita, mogła mu prosto w piersi wypalić, a w każdym razie pęknąć na dwoje. Szczęście, że to nie gruby kaliber na słoniu uległ katastrofie, bo go nie mógłbym zastąpić; ekspres zaś posiadam drugi, bardzo ciężki, z którego jednak nigdy dotąd nie strzelałem.

19 lutego. Dziś znowu posuwamy się kilka mil naprzód, do miejscowości, zwanej Butawa, gdzie na nocleg, w braku rest-housu, pod namiotem rozłożyć

się mamy. Opuszczamy Palatupana przed wschodem słońca, a żona moja z całym taborem ma prosto do Butawy pociągnąć.

Szaro jeszcze było, gdy stadko jeleni-axis ruszyło przed nami, za daleko do strzału. Cicho i ostrożnie wychylamy się na otwarte miejsca, wysoką trawą zarosłe, i zaglądamy do licznych wodopojów, które w postaci albo zwykłych kałuży z resztą deszczowej wody, albo jako ładne jeziora w malowniczym pierścieniu ciemnej kniei gęsto po dżungli są rozsiane.

Trudne to zadanie opisać dziką miejscowość tak dokładnie, by czytelnik mógł odrazu uzmysłowić sobie dany krajobraz z właściwymi jego cechami, szczególnie gdy ramy i sam obraz tak całkowicie i zasadniczo różnią się od wszystkiego, co się zwykle w Europie ogląda i spostrzega. A jednak sądzę, że w opowiadaniu myśliwskim z egzotycznych krain, opis miejscowości jest koniecznym warunkiem, aby uniknąć choć w części nudnej jednostajności suchego wyliczania zdarzeń i wypadków, które, zdaniem mojem, nie potrafią w czytelniku-myśliwym rozbudzić zajęcia, jeżeli są podane bez tła, na którym się odgrywają. Dlatego staram się zawsze przy opisie danego epizodu oddać, o ile mogę dokładnie, odpowiednie szczegóły miejscowości i otoczenia, a jeżeli niewprawne pióro nie zdoła oddać myśli w należytej formie barwnego obrazu, łaskawy czytelnik wybaczyć mi raczy.

Nad ślicznie położonem jeziorkiem, wśród olbrzy-

mich bloków erratycznych, zeszliśmy kąpiącego się w błotnistej wodzie, dzika-odyńca, sporych rozmiarów. Siedział na zadzie, tyłem do nas obrócony, i kiedy niekiedy ryj zanurzał w wodę, jakby rozkoszując się ranną kąpielą. Gdy zoczył intruzów, począł umykać, lecz kula moja z dużego ekspresa rozciągnęła go na miejscu. Dosyć udatny strzał, pierwszy z tej broni, jaki zrobiłem, pocieszył mię nieco po wczorajszej stracie starej Lebedówki, a przynajmniej dodał mi otuchy, że się bez niej obejść.

Dzik cejloński, większy od indyjskiego, a mniejszy od naszego, nie różni się zresztą prawie w niczem od swego indyjskiego krewniaka, jest najpospolitszą w dżungli zwierzyną i małego między myśliwymi zażywa znaczenia. Uchodzi za grabarza dżungli, żywi się najbrzydszemi odpadkami, i nawet krajowcy, niezbyt zresztą wybredni gastronomowie, brzydzą się jego mięsem, jakoby dlatego, że dzik jadowite węże pożera.

Zabraliśmy z ubitej sztuki łeb, jako pierwsze na Cejlonie trofeum, i razem z pawiem, którego mi się podejść i ubić udało, przewiesili na kiju przez plecy jednemu z naszych kulisów. Zwykły to sposób transportowania w dżungli trofeów i wogóle zwierzyny.

Po parogodzinnej sieście w cieniu akacyi na skraju dużej halawy, ruszyliśmy dalej, kierując się ku Butawie, gdzie mieliśmy z obozem się złączyć.

Idziemy gęsiego wążkami ścieżynkami, wśród gąszczy i zarośli, w ciągłej, niemiłej walce z miliardami kolców, lian i pokręconych, drogę tamujących,

powojów, które niemało utrudniają pochód w dżungli. Przesmyki dzikich zwierząt, a szczególnie drożynki, wydeptane przez słonie, stanowią jedyne ścieżki, którymi tu posuwać się można.

Starego Maulana, mniej obeznanego z okolicą, zastąpił Malaj, nazwiskiem Abanti, dziwnie brzydka, wstrętnie brudna i umysłowo mało rozwinięta istota, ale obdarzona niezwykle instynktem do łowiectwa, i jeden z najlepszych trakerów, jakiego w ciągu naszej wycieczki spotkałem. Szedł naprzód, prowadząc naszą kompanię, ja za nim, w tyle Soult i kulisi.

Wychodzimy właśnie z gąszczu na otwartą polankę, gdy nagle Abanti skręcił się na pięcie i po jego minie poznałem, że coś ważnego zoczył. Zerwawszy sztuciec z ramienia i naciągnąwszy kurki, ostrożnie wychyliłem się z gąszczu.

Na skraju czystej polanki, o 25 kroków ode mnie, stał olbrzymi bawół, na kulawy sztych ku mnie zwrócony.

Widocznie wietrzył niebezpieczeństwo, bo spoglądał ku nam, podniósłszy łeb potężny z rozdętymi nozdrzami.

Szybko posłałem mu pierwszą kulę, celując w łopatkę; skręcił się w strzale i w tejże sekundzie strzeliłem drugi raz w komorę. Runął w ogień, jak piorunem rażony, i padł całym ciężarem, aż ziemia zadudniała.

Nigdy nie zapomnę widoku powalonego bawołu, gdy, nie mogąc powstać, rogami i racicami walił o ziemię, aż piasek leciał w górę, chrapał przeraźli-

wie i krwawemi ślepiami wokół toczył, wściekły od bólu i złości. Kilku kul jeszcze potrzebował, nim ostatecznie martwy się rozciągnął.

Był to wyjątkowo duży okaz byka „pojedynka“, o pysznych i grubych rogach, jedno z najpiękniejszych trofeów mego polowania na Ceylonie.

Bawół indyjski (*Bubalus Arni*) przybył na Ceylon, jak wogóle cała fauna tego kraju, z Indyj, swej ojczyzny, jeszcze w owych prahistorycznych epokach geologicznych formacji, gdy kontynent indyjski był złączony z wyspą t. zw. „mostem Adama“. Przed laty, stadami licznymi zamieszkiwały bawoły cały niemal obszar wyspy, dziś jednak z postępem kultury i cywilizacji, cofnęły się do rzadkich miejscowości dzikiej dżungli, gdzie obszerne, nieuprawne równiny wśród bezdennych gąszczów zapewniają im spokojne i pewne ukrycie i ulubione wypasy. W prowincjach środkowych znikły już zupełnie, w północnych regionach trafiają się rzadziej, jedynie na południu dużemi stadami zamieszkują jeszcze okolice Hambantoty i wzdłuż morza ciągnące się dżungli przestworza.

Anglicy niesłychanie wysoko stawiają bawołu w szeregu najgrubszej łownej zwierzyny, uważając polowanie na niego za równie pożyteczne, jak niebezpieczne. Faktem jest, że byk postrzelony, jeżeli tylko dojrzy przeciwnika i sił mu starczy, zawsze zwraca się ku niemu i z całą wściekłością uderza na myśliwego. Powyższej reguły nie można zastosować ani nawet do tygrysa: jedynie o byku-bawole niemal kategorycznie wyrzec ją można. Już w jego postawie,

wyzywającym wzroku i potężnej strukturze Iba jest coś tak dzikiego, odważnego i imponującego, że sam wygląd zwierza, w połączeniu z rzeczywistym niebezpieczeństwem spotkania, wystarcza, by nadać bawołowi po pachydermoch i największych felidach, pierwsze miejsce między najgrubszą zwierzyną.

Szerść ma ciemną, stare okazy niemal czarną, pod brzuchem żółtawą, nogi od kolan brudno-białe. Jest on największym z bawołów indyjskich i afrykańskich; jedynie żubr nasz litewski i bizon amerykański wzrostem go przewyższają.

Brehm uważa go za protoplastę swojskich bawołów, które spotyka się na całym Wschodzie, i nazywa go zwierzęciem najdzikszym i najniebezpieczniejszym ze wszystkich zwierząt łownych, co i naturaliści i sportsmeni angielscy potwierdzają.

Myśliwi cytują wypadki z indyjskich łowów, że postrzelony byk rzucił się na słonie, z których do niego strzelano, a krwiożerczy tygrys unika lękliwie potężnego byka, który w walce z nim zawsze ma wychodzić zwycięsko.

Bawoły lubią nadzwyczaj okolice nisko położone, błotniste, gdzie pełno jezior, oczyszczaków i kałuży, i jak amfibie, całymi dniami w wodzie i szlamie prześiadują, lby tylko nad powierzchnię wody wystawiając.

Rogi ma długie, karbowane, a byka grube w osadzie, u krowy więcej wydłużone i cieńsze. Bupalus Arni, w Indyach żyjący, ma rogi znacznie

większe od cejlońskiego; zresztą w niczem od niego się nie różni.

Dziwna rzecz, jak klimat Cejlonu, albo może właściwość ziemi, czy paszy na wyspie nie sprzyja rozwojowi rogów i kłów u zwierząt. Słoń cejloński, jedyny wyjątek w swym rodzie, odznacza się ujemnie brakiem kłów i cennej kości słoniowej; bawół tegoż kraju ma rogi znacznie mniejsze, niż brat jego rodzony w sąsiednich Indyach; wszelakie cervidy, na wyspie żyjące, noszą rogi słabo rozwinięte, a nawet u zwyczajnej krowy domowej wyrastają tylko małe różki do kilku cali długości.

Bawół uchodzi za jedno z najtwardszych do ubicia zwierząt i mój nowy ekspres zdał pomyślny egzamin z siły swego pocisku, powalając zwierza na miejscu. Obie pierwsze kule w nim siedziały: jedna w łopatce, druga w komorze.

Dałem natychmiast znać do obozu i moja żona niebawem przybyła, aby się pięknej zwierzynie przypatrzeć i dzielić ze mną radość z okazji ładnego trofeum myśliwskiego.

Kulisi wzięli się do ćwiertowania bawolego mięsa, odciawszy łeb i przednie racice, jako godne zachowania pamiątki.

Jak na drugi dzień wyprawy, ładny mam rozkład dzisiejszy: bawół, odyniec i dwa pawie, z których jednego, ślicznego koguta, o pysznym ogonie, kulą nad brzegiem morza ubilem, gdyśmy do obozu powracali.

W Butawie nasz obóz był rozłożony i namiot

rozpięty w grupie cieniszych akacji, wznoszących się jakby mała oaza na szerokiej, otwartej równinie, otoczonej w oddali ciemnym dżungli kołem. Wązki strumyk szemrze opodal, wijąc się piaszczystym korytem wśród wysokiej trawy i zarośli. Przed nami w oddali, na tle horyzontu siwieje ogromny blok erratyczny, który podobieństwu swych kształtów do olbrzymiego słonia zawdzięcza swą nazwę „Elephant-rock“.

20 lutego. Srebrzysty księżyc w samej pełni oświecał nam pierwszą noc, w dżungli pod namiotem spędzoną. Jasno było, jak w dzień; nigdzie nie widziałem takiego blasku księżyca i całego firmamentu, jak na dalekim Wschodzie.

Wokoło nas spokój dziewiczej przyrody; głuchy szum morza przypomina dziwnie się wydającą w tem otoczeniu leśnej kniei, bliskość oceanu. Głęboką ciszę przerywa tylko rytmiczny i przeciągły śpiew Syngalezów, ślących modły pobożne do wielkiego Buddy; z głębi dżungli dolatują mnogie głosy dzikich jej mieszkańców.

Szakale wyją tuż pod namiotem, jakby zawodząc smutne żale nad najściem intruzów, zakłócających spokój leśnych tubylców. Gruby, urwany bek sambura daleko słyszeć się daje, łatwy do odróżnienia od trwożliwego głosu mniejszego jelenia „axisa“. Czasem paw, wyrwany ze snu łomotem jakiegoś zwierza, przechodzącego opodal, wrzaskliwie się odezwie i urwie, niekiedy jakiś głos ponury i przeciągły, jakby jęk bólu niezmiernego, złowrogo przelatuje nocną ciszę i zamiera w oddali, — to głos „szatańskiego ptaka“,

wróźba śmierci dla Syngalezów, którzy wierzą, iż kto tego ptaka usłyszy, wkrótce potem zginąć musi.

Długo siedzieliśmy na dworze koło namiotu, wpatrując się w noc jasną i pogodną i przysłuchując się rozlicznym głosom przyrody.

Po wczorajszym sukcesie, dzień dzisiejszy mniej fortunnym się okazał. Część ranka zeszła na bezowocnem śledzeniu słoni.

O świcie podjeliśmy niedaleko od obozu świeży trop grubej sztuki, samicy, czyli krowy, jak ją tu nazywają (coweelephant), co po śladzie towarzyszącego jej małego słonika było widoczne. Wodziła nas z parę mil po dżungli; wkońcu ślad złączył się i skrzyżował z innemi, i porzuciliśmy go, by obrać inny, też grubszej sztuki, osobno idącej.

Wiatr nam nie sprzyjał i mimo całej ostrożności i sprytu trakera, słoń coś zwietrzył i ruszył przed nami. Usłyszeliśmy trzask gałęzi i podbiegłszy kawałek, ujrzałem potężne zwierzę, zwolna uchodzące. Pierwszy raz w życiu widziałem słonia na wolności, za daleko było do strzału, zresztą zad tylko widziałem, a regułą jest w tem polowaniu, natychmiast odstąpić od sztuki, która, myśliwego zwietrzywszy, przed nim uchodzić zaczyna.

Dziwnie dużo słoni w tej części wyspy. Snują się te olbrzymy po dżungli, markując swe przejście wywrotem drzew i łomem gałęzi, i wydeptując istne kurytarze w ciemnym gąszczu, ku wygodzie myśliwych, którzy niemi łatwiej posuwać się mogą.

Od czasu, jak rząd angielski podwyższył opłatę od

licencyi na polowania na słonie, stan ich podniósł się znacznie. Kiedy inne rodzaje zwierzyny, jak jelenie, lamparty, a przede wszystkim bawoły ustępują coraz szybciej przed człowiekiem i cywilizacją, dziesiątkowane przez myśliwych, a szczególnie przez krajowych kłusowników, ciągle się przerzedzają i powoli znikają, ilość słoni na wyspie się wzmacza.

Ze sprzecznych wersji o ich ogólnej ilości na Cejlonie, o ile w przybliżeniu obliczyć ją można, trudno znaleźć choćby przypuszczalną cyfrę, któraby prawdzie zdołała odpowiedzieć. Jedni mówią, że jest ich około 2,000 sztuk, inni powiększają tę liczbę w dwójnasób, a krajowcy to już przesadzają ją do fantastycznych rozmiarów. Zdaje mi się, że pośrednia cyfra między dwiema pierwszymi jest prawdy najbliższą. Zważywszy jednak, że ogólne terytoryum dżungli na Cejlonie, czy to pod postacią górskiej kniei, czy leśnych obszarów na południu, jest bardzo obszerne, wypada stosunkowo gęsto słoni na poszczególne rewiry, czyli shooting-ground'y.

Nie udało mi się tegoż ranka spotkanie z trzema bawołami, bawolicą, z małym i średnią sztuką, na które, wychyliwszy się z gąszczu na leśne jezioro, formalnie się natknąłem. Szybko do gąszczu wpadły i w prędkości z obu luf chybiłem.

Równie niefortunnie poszło mi z jeleniami axis. Zeszliśmy małe stadko tych ślicznych cervidów, odpoczywających w cieniu akacyj pod pagórką o jakie stokilkadziesiąt kroków od nas. Teren nie pozwalał podejść bliżej, i chcąc sobie celny strzał zape-

wnić, umyśliłem szneller naciągnąć; lecz czy palcem w przeciwnym kierunku zawadziłem, czy też z cyn-glem nieostrożnie się obszedłem, dosyć, że mi lewa lufa szybciej wypaliła, niż sobie tego życzyłem. Z konfu-zyi chybiłem i z drugiej do ogłupiałych jeleni, które, nie wiedząc, zkad im zagraża niebezpieczeństwo, chwilę jeszcze przystały, rozglądając się wokół. W momencie strzału widziałem, jak z obocznej gę-stwiny naprzeciw axisów, wypadł wystraszony silny jelen-sambur, z pysznemi rogami, i zniknął w oka mgnieniu.

Ruszywszy dalej, nasz przewodnik Abanti, idący na przodzie wąską ścieżynką, zoczył lamparta w chwili, gdy z nad brzegu małej kałuży umykał przed sze-lestem naszego pochodu. Nikt z nas go nie dostrzegł. Abanti się przysięga, że trzy sztuki widział, i rze-czywiście po tropach wyraźnych na błocie, przeko-nywamy się, że Abanti ma słuszość; była to zape-wne matka z dwoma młodem. Małpy ciągle nas zwo-dzą hałaśliwemi ewolucyami wśród konarów drzew, trakerzy biorą to. niejednokrotnie za oznaki blisko-sci słonja.

Z ptaków widzę tu po raz pierwszy czarnego dzioborożca o dziwnym kształcie ogromnego, jakby podwójnego dzioba; ostrożne pawie i krzykliwe ko-guty leśne pomykają w zaroślach; z innych ptaków najliczniej są reprezentowane gołębie, między którymi odmiany zielone z fioletowym odbłyśkiem uderzają oryginalnością upierzenia.

Urok dżungli niesłychany. Rozmaitość zwierza

odpowiada jego ilości. Tajniki przyrody odkrywają przed zdziwionem okiem jej wielbiciela, coraz nowe skarby oryginalnej i bogatej fauny. Ileż to jej okazów pozostaje ukrytych przed wzrokiem przypadkowego przechodnia, który tylko ślady wielu ciekawych egzemplarzy spostrzedz jest w stanie.

Ogromny jeż nie wychyla się w daytimej porze ze swych ziemnych kryjówek, znacząc tylko swe nocne wędrówki utratą długich, czarno-białych koleców, znanych u nas w postaci obsadek do piór.

Rzadki okaz familii edentatów, t. zw. pengolin, czyli mrówkojad (*Manis pentadactyla*), zdradza swą obecność głębokimi dziurami, które swym długim ryjem wygrzebuje w misternie zbudowanych kopcach białych mrówek, lecz kryje się przed okiem człowieka.

Tylko mangosy (*Herpestes griseus*) o puszystym ogonie, wrogi kobry i wszelakich gadów jadowitych, przemykają dość często w zaroślach, i zwinne wieiórki (*Sciurus macrourus*) migają w drzew gałęziach.

A cóż dopiero mówić o świecie owadów, o tej niezliczonej ilości najdziwniejszych okazów cudnych motyli, błyszczących coleopterów, libelli i szarańczy cudacznych form i kolorów, między którymi największej uderza oryginalnością budowy ciała t. zw. owad liściowy i drzewny, pierwszy do liścia, drugi do drobnego kawałka drzewa podobny.

Tu ustają moje wiadomości z historii naturalnej, i za dalekoby mię opisy tych dziwów od przedmiotu myśliwskiego opowiadania odwiodły.

Niezadowolony sam z siebie za chybyne strzały i mocno zmęczony po 10-godzinny marszu w skwarze słonecznym bez posiłku i wody, dociągnąłem przed wieczorem do obozu, przynosząc jako jedyne trofeum olbrzymią jaszczurkę Iguano (*Varanus bengalensis*), którą śrótem nad moczarkiem strzeliłem: istny krokodyl w miniaturze.

Syngalezi radzi, że będą mieli świeżą potrawę na dzisiejszy obiad. Zapewniają, że mięso tej jaszczurki jest smaczne i bardzo „silne“, lecz, co oni pod tym drugim przymiotem rozumieją, dojść nie mogłem i wolę nie kosztować syngalezkiego specyału.

W obozie mi opowiadają, że rankiem, po naszym wyjściu, pięć bawolów wyszło z gąszczu i pasło się dobrą chwilę o paręset kroków od namiotu mej żony, która je dokładnie przez lornetkę obserwować mogła.

Widzę na białym piasku koryta małej rzeczulki, opodal płynącej, że mieliśmy w nocy gościa; świeży trop wskazuje lamparta, który zapewne pragnął zbliżka spenetrować, co to za przybysze śmieli zająć rewir jego nocnych wędrówek i łowów.

21 lutego. Wczoraj wieczorem emocya zapanowała w obozie, gdy pierwszy posłaniec wpadł z listem do mnie z pobliskiej miejscowości, Iala zwanej. Sam się zdziwiłem, co to być może. Przybiegł Soult i cała kompania naszych Syngalezów z ciekawą Ayą na czele, aby się dowiedzieć, kto do „Sahiba“ w tym zapadłym kącie Cejlonu pisemne mógł przesłać relacye.

List był od lorda Cairns'a, Anglika, który obozował z myśliwskim taborem opodal w Iali, a dowiedziawszy się o naszej wyprawie, pragnął się ze mną skomunikować względem dalszych naszych zamiarów; podawał dalszą swą marszrutę i prosił o moją, by sobie wzajemnie nie psuć rewirów i polowania. Proponował mi zatrzymanie kierunku ku północy wzdłuż wybrzeża morskiego, a sam zamierzał na południe się zwrócić i zająć miejsce naszego dzisiejszego obozu w Butawie.

Licowało to zupełnie z memi projektami, gdyż właśnie dziś mieliśmy tabor w Butawie zwinąć i do Iali na noc się posunąć, lecz Soult i cały zastęp naszych tropicieli i myśliwych upatrywali w propozycji Anglika ukryty zamiar wyrugowania nas z Butawy, celem zajęcia obfitych w zwierzyinę rewirów okolicznych, i poczęli na mnie nalegać jedynie par *esprit de contradiction*, by koniecznie dzień lub dwa dłużej w Butawie pozostać. Uległem ich namowom, a szczególnie prośbom Soulta, i odpisałem do lorda, dziękując za komunikat, że, dopiero co tu przybywszy, dłużej w Butawie zabawić pragniemy.

Nie na dobre nam jednak wyszła ta zmiana programu, gdyż dzień dzisiejszy znowu minął bezowocnie.

Rankiem wyruszyłem z obozu ze zwykłą świtą tropicieli i kulisów, pod wodzą Soulta, i niebawem natrafiliśmy na pasącą się na otwartej halawie leśnej, dużą bawolicę z młodem. Gdy je podchodzić zacząłem krajem gąszczu, wypadł przedemną z klombu akacyi

ogromny jeleni sambur z rozłożystemi rogami; ulegając pokusie zdobycia ładnego trofeum, poświęciłem bawoły i strzeliłem do sambura. Strzał miałem niewygodny, w zad zwierzęcia, i dym mnie zaszedł, odbierając możność postania drugiej kuli. Jeleń skręcił i znikł w gąszczu, lecz obfita farba świadczyła, że kula nie chybiła celu.

Rozpoczęło się mozolne szukanie postrzałka. Z początku farba lała się obficie, i przedzierając się za śladem w zwartym, jak ściana, gąszczu, doszliśmy do leżącego w kałuży farby, zwierzęcia. Pomknął jednak o krok przed nami i dalej ruszył.

Chodzenie za postrzałkiem w dżungli cejlońskiej, równie jak i w indyjskiej, jest niesłychanie trudnem i rzadko się kończy dodatnim rezultatem, chyba, że zwierzę legnie tuż obok miejsca postrzału. Raz zboczywszy ze słoniowych traktów i zwyczajnych ścieżek,—choć leż na czworakach. Dżungla jest tak straszliwie gęsta, zbita w taką ciemną masę nierozzerwalnie pokręconej i koleczastej roślinności, że nawet wprawni krajowcy z trudnością i niechętnie dają się namówić do długiego śledzenia postrzałka. Farba szybko na ranie zasycha i po pierwszej półmili za zwyczaj ustaje.

Jeleń tymczasem wciąż przed nami się posuwał; słyszeliśmy go kilkakrotnie, lecz zoczyć nie zdołali.

Przeraźliwy kwik jakiegoś mniejszego zwierzęcia, prawdopodobnie warchlaka, oderwał nas na chwilę od tropu jelenia. Podbiegliśmy, z kądem głos docho-

dził, lecz za późno przybyli na miejsce zbrodni; jeden tylko z biegnących przodem Syngalezów, ujrzał umykającego w gęstwinie lamparta z warchlakiem w pysku.

Takich krwawych dramatów rozegrywają się tyśiące codziennie w tajemniczem łonie dżungli. Zacięta walka o byt i prawo silniejszego stanowią i w tym świecie zwierząt różnorodnych główne aksjomaty egzystencyi. Jeden żyje z drugiego, mocniejszy czyha na słabszego, i tak idzie od góry aż do dołu, po całej skali niezliczonego szeregu stworzeń żyjących.

Tylko jeden słoń, jak istny monarcha tych leśnych przestworzy i ich mieszkańców, kroczy poważnie przez obszary, na nikogo nie nastaje i nikt jego zaczepić się nie ośmiela.

Lecz wróćmy do jelenia. Po trzygodzinnem, daremnie i nader męczącym śledzeniu, wolałem się zwrócić ku obozowi, zostawiając Soult'a i kilku kulisów, celem dalszych poszukiwań.

Puściłem się z powrotem z Ferekiem i Maulanem, który miał mnie prowadzić. Lecz niebawem zauważyłem, że drogę zmylił i kręci ścieżkami, nie odchadzając od miejsca. Kilka godzin stary niedołęga wodził mnie po dżungli, nim Ferek wpadł na koncept wdrapania się na drzewo wysokie, by z punktu dominującego nad niską dżunglą, niby z obserwatorium się rozpatrzyć, jaki kierunek drogi wybrać nam wypada.*

Kierunek wiatru w wypadkach zbłądzenia w tej okolicy pomocnym być może, bo wiatr ciągnie niemal za-

wsze od morza, a tem samem służy jako wskazówka, gdzie się brzeg morski znajduje. Nie widziałem kniei, w którejby myśliwy więcej na wiatr zważać musiał, niż tutaj, szczególnie polując na słonie. Traker nieustannie bada jego kierunek, puszczając z ręki szczyptę drobnego piasku, czulego na najlżejszy podmuch wietrzyka.

Dobiliśmy się do jakiegoś piaszczystego koryta napół wyschłej rzeki i kombinując, że ona ku morzu płynąć musi, a zatem w końcu doprowadzi nas w stronę Butawy, postanowiliśmy więc trzymać się jej kierunku.

Natrafiliśmy w tych peregrynacyach na wylegiwającego się w słońcu nad brzegiem jeziorka, alligatora kolosalnych rozmiarów; nie miałem wogóle wyobrażenia, że takie monstra egzystują. Grube jego cielsko czerniało, jak zgniła kłoda potężnego drzewa; ogromny łeb był zakończony śpiczastą paszczą potwornych rozmiarów, a gdy dźwignął się na nogi, aby do wody umknąć, wysoki się stał, jak jałówka. Nie mając strzelby pod ręką, straciłem sposobność strzahu do tego smoka o kształtach, jakby z przedpotopowej epoki, o którego krewniaku afrykańskim tak trafnie wyraził się Sienkiewicz, że uosabiać się zdaje plugawe i ślepe okrucieństwo.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy dowlokłem się nareszcie do obozu, tak okropnie zziębnięty i znużony, jak nigdy przedtem, ani potem w ciągu całej wyprawy.

Dziś czwarty dzień już mija, a ze słoniem dotąd na strzał się nie spotkałem. Mimowolnie przychodzą mi na myśl tygrysie zawody w Indyach i ujemny pod tym względem rezultat indyjskich mych łowów. Pocięszam się jednak myśla, że kiedy w Indyach tylko jeden tygrys w ciągu całego polowania do miotu nam się nawinął, tutaj jesteśmy w środku najlepszych rewirów i mnogie ślady gruboskórców świadczą o znacznej ich ilości.

Trudno przeprowadzić paralełę między dżunglą cejlońską a indyjską ze stanowiska terenu dla myśliwego; wszystko niemal zależy od okoliczności tej lub owej, wyprawie towarzyszących.

Indyjska dżungla, rozsiana po całym obszarze ogromnego kontynentu, stosownie do regionów, w których się znajduje, tak jest różnorodna, i pod względem ilości i jakości zwierzyny tak rozmaita, że się nie daje zgeneralizować ogólnemi wyrazami tych lub owych przymiotów. Różnorodność zwierza w Indyach jest niezaprzeczenie większa, fauna wogóle bogatsza i najlepsze rewiry Hindostanu pozostawiają daleko za sobą dżunglę cejlońską. Zważywszy jednak trudność dostania się do nich, wolę być na Cejlonie w sercu najlepszych na wyspie rewirów, niż w ogromnych obszarach indyjskich, gdzie zwierz przerzedzony i urządzenie polowania od wielu warunków, niezawisłych od myśliwego, zależy.

Soult powrócił bez jelenia, który przepadł, jak wogóle ginie dziewięć dziesiątych postrzałów w tych strefach.

22 lutego. Szarzeń poczynano, gdy wyszliśmy z obozu i podjęli o paręset kroków od niego, świeży trop całego stada słoni.

Nie uszliśmy pół mili za śladem, gdy trzask gałęzi wskazał nam, że słonie są niedaleko.

Zmieniłem ekspres na gruby kaliber i z bijącym sercem sunąłem cicho za Abantim; za mną szedł Solt, Maulan i Ferek ze strzelbami.

Łomot gałęzi wciąż wyraźnie nas dochodził; wreszcie ujrzałem wierzchołki drzew i krzewów, gwałtownie się poruszające.

Słonie tuż obok.

Jeszcze kilka chwil piekielnej emocyi. Leżemy na czworakach w ciemnym gąszczu.

Wtem Abanti ręką wskazał przed siebie i na bok się usunął, zostawiając mi wolny przechód. Podlażłem jeszcze parę kroków naprzód i w głębi gąszczu, nie więcej, niż o osiem kroków od siebie, ujrzałem siwą masę ogromnego zwierzęcia, stojącego ku mnie na polec. Gdyby nie to, że trąbą wciąż za gałęzie chwytal i gwałtownie nimi poruszał, byłbym może przeszedł tuż obok, nie zauważywszy, że słoń koło mnie stoi.

Emocya mnie dławila; nieco za szybko wypaliłem, mierząc w łeb, między ucho a oko.

Grzmot strzału, dym, ryk, trzask gałęzi, oszłomily mię nieco; nie wiedziałem, co się ze słoniem stało. Niemal bezwiednie podbiegłem kilka kroków naprzód ku jaśniejszemu miejscu, na małą polankę, i w tejże sekundzie dwa słonie z trzaskiem i hukiem

na nią wpadły. Byłem od nich nie więcej, niż o sześć kroków. Pierwszy mię zoczył i jakby przystanął — w tejże chwili strzeliłem do niego z lewki. Przewrócił się na bok z rykiem przeraźliwym. Soult, stojący opodal, zamiast mi podać drugi sztuciec, sam z obu łuf do leżącego słonia wypalił, ja zaś począłem szukać po kieszeniach ładunków do zmiany. Nim je wszakże włożyć zdołałem, słoń dźwignął się na nogi i sycząc, hucząc i fukając, jak machina parowa, znikł nam z oczu w ciemnym gąszczu dżungli.

Gdy ochłonęliśmy nieco z emocyi, rozpoczęła się rekonstrukcyja faktów; pokazuje się, że słoni było pięć. Abanti twierdzi, że pierwszy, do którego strzelałem, też się przewrócił, lecz szybko porwał się i umknął z dwoma innemi w kierunku przeciwnym od tych, które na polankę wypadły. Oba zatem były postrzelone, lecz, niestety, wiedziałem już z poprzednich opowiadań i opisów, że słoń postrzelony, który jest w stanie na nogi się dźwignąć, prawie zawsze dla myśliwego jest stracony.

Tak też się stało. Szliśmy spory kawał za farbą drugiej sztuki, która nam się wydała silniej strzeloną. Farby po gałęziach było niezbyt wiele, wreszcie ustała zupełnie, trop się skrzyżował i złączył ze świeżemi; musieliśmy dać za wygraną i odstąpić od dalszego szukania.

Smutno mi się zrobiło na sercu po tem pierwszym niefortunnym, z gruboskórcami spotkaniu. Odbył się ono tak blisko od obozu, że nie tylko strzały, lecz i ryk zwierzęcia słyszano w nim wyraźnie,

i moja żona, pewna dobrego rezultatu, w parę chwil zdążyła na miejsce zdarzenia, — niestety! po to tylko, by ujemny jego widok skonstatować.

Nie ulega wątpliwości, że obie moje kule nie chybiły wprawdzie celu, lecz nie trafiły w odpowiednie punkta, ogłuszyły tylko chwilowo olbrzymie zwierzęta, nie docierając do mózgu, a zatem nie naruszając życiowych części organizmu. Potwierdza to, co powyżej powiedziałem, że słonia tylko w mózg i nie gdzieindziej, trafić należy, aby go na miejscu powalić.

Dziwnem się może wyda niejednemu myśliwemu, przeglądającemu te kartki, jak można zwierzę notorycznie sprytnie i rozumne, jak słoń, podejść na tak blizki dystans, jak się to zazwyczaj zdarza. Niechby kto spróbował w naszych kniejach podkraść się w ostępie do losia, niedźwiedzia, dzika, a choćby nawet do sarny, lub parkowego jelenia: pryśnie nieraz pierwej, nim myśliwy ujrzeć go zdoła. Kluczem do tej zagadkowej właściwości polowania na słonie jest, zdaje się, to, że słoń dziwnie jest krótkowidzący, nie rozróżnia przedmiotów dalej, niż o kilka kroków przed sobą, i obdarzony od natury znakomitym węchem, polega tylko i wyłącznie na tym ostatnim zmysle, ale ten wtedy tylko służyć mu jest w stanie, gdy sprzyja wiatr odpowiedni, w przeciwnym zaś razie ustaje władza węchu zupełnie.

Trzask bezustannie łamanych gałęzi, łomot ich poruszeń i wogóle hałaśliwe zachowanie się słoni w kniei, przygłusza wszelki inny szelest i dlatego

zwierzę nie dosłyszy szmeru zbliżającego się człowieka i daje mu się podejść tak blisko. Wszystko od wiatru zależy, i najlepszy tropiciel i najwprawniejsi myśliwi nie potrafią zbliżyć się do słonia, jeżeli im wiatr nie sprzyja.

Starego Maulana posłałem, więcej *par acquit de conscience*, niż z przekonania, na trop słonia, strzelonego pierwszą kulą, sami zaś zwróciliśmy się ku obozowi, t. j. do Iala, dokąd nasz tabor tegoż ranka miał się posunąć.

W braku Abantiego, którego posłałem po zapomniany kapelusz od słońca, tłukliśmy się długo po ciemnej dżungli, nie mogąc należytego kierunku drogi do Iala odnaleźć.

Wtem doszły nas z gęstwiny głosy, zdradzające bliskość nowego stada słoni. Z Soultem, jako jedynym przewodnikiem, puściłem się samowtór w ich kierunku.

Trudno opisać tony, jakie słonie wydają, gdy ich sporo w kupie się zbierze. To przeciągły świst, jakby lokomotywy, to gruby ryk, to głos jakby trąby olbrzymiej, to znowu cienki kwik i syk — zlewają się w koncert, acz nie symfoniczny, lecz conajmniej oryginalny, do którego huk gałęzi i trzask drzew deptanych, stanowi odpowiedni akompaniament.

Podkradliśmy się dosyć blisko, nie mogąc ich dostrzedz, gdy nagle, wychyliwszy się na czystsze miejsce, ujrzałem słonia, stojącego nieruchomo na sztych ku mnie. Za nim stał drugi, w oddali czerniał trzeci, czwarty i sporo jeszcze więcej.

Podsunałem się bliżej, wprost ku słoniowi idąc, i na 12 kroków, tym razem spokojnie i z zimną krwią, wymierzyłem nisko w czoło, nad samym trąby zaczątkiem. Po strzale runął, jak stał, aby się więcej nie podnieść. Za nim stojąca, druga sztuka ogromnych rozmiarów, istny kolos, zamiast do ucieczki się zwrócić, podszedł do leżącego towarzysza i trąbą począł go macać i obwączywać, jakby do wstania go namawiając. Z lewki drugą kulę mu posłałem; przewrócił się w ogniu tuż za pierwszym. Tryumf świetnej dublety zamajaczył mi przed oczyma; niestety, gdy chwyciłem drugą strzelbę, by dostrzelić pierwszą, żyjącą jeszcze sztukę, kolos zerwał się, umknął i tyleśmy go widzieli.

Jeden przynajmniej został: pyszna sztuka, średniego wieku byk, dużych rozmiarów. Dziwne uczucie ogarnia myśliwego, nieobebranego z tą niezwykłą zwierzyną, na widok strzelonego olbrzyma. Radość i właściwe każdemu myśliwemu, może nieco krwiożercze, ale prawdziwe przy każdym rodzaju polowania, uczucie wysokiego zadowolenia z samego siebie na widok upolowanej zwierzyny, a cóż dopiero takiej zwierzyny!— przygłusza, mem zdaniem, wszelkie inne konsyderacye i nie wierzę w szczerość opisów myśliwskich, którzy przy pierwszym swym słoniu rozwodzą się nad bezcelowością tego sportu i okrucieństwem zabijania nieszkodliwych zwierząt.

Kto ma w sobie prawdziwą żylkę myśliwską, temu podobne refleksye przy ubitym, pierwszym okazie najgrubszego zwierza, do głowy nie przyjdą,

a przesyt nastąpić może dopiero później przy częstem powtarzaniu się tego samego rezultatu.

Kto nie widział słonia na wolności, nie może sobie wyobrazić rzeczywistego wyglądu tego zwierza na tle dzikiej kniei; nie podobny on zupełnie do tego słonia o dobrodusznym wzroku i wyrazie, który w menażeryach lub ogrodach zoologicznych bawi spektatorów zręcznością, z jaką wylawia podawane mu bułki i przysmaki. Postawa, ruchy, wzrok, cały wygląd jednym słowem—znamionują dzikość, nieprzepartą siłę i potęgę tego olbrzyma, który tak się ma do swego przyswojonego brata, jak wół, w plugu chodzący, do dzikiego bawołu w ostępie dziewiczej dżungli. Cóż dopiero słoń-złośnik, czyli „rogue“, o którym myśliwi mówią, że jest najniebezpieczniejszem i najstraszniejszym stworzeniem na kuli ziemskiej.

Strzelałem dziś rano do 4-ch słoni, w ciągu kilku godzin natrafiliśmy na dwa liczne stada; w drugim 6 — 8 sztuk być musiało.

Kulisi zbiegli się do leżącego słonia i zaczęło się szczegółowe oglądanie zwierza. Pierwszą naszą kulę, która go powaliła na miejscu, dostał nisko w środek czoła.

Gdyby to było w Afryce, byłaby moja kula bezużyteczną, bo wypukła konformacya czoła słonia afrykańskiego chroni go od frontowych strzałów, i kula w czoło zazwyczaj powierzchownie prześlizguje się po skroni, nie dostając się do wnętrza czaszki. Natomiast słoń indyjski ma kość czołową wklęsłą i daje tem samem możność strzału na sztych.

Odnaleźliśmy nie bez trudu ścieżkę, wiodącą do Iala, i w tryumfie przybyli do obozu, przynosząc ogon słonia, który tu zwykle, jako doraźne trofeum, obcinają.

23 lutego. Obóz nasz jest uroczo położony nad stromym brzegiem rzeki Iala, która o milę dalej do morza wpada. Wije się srebrną taśmą czystej i chłodnej wody pod sklepieniem bujnej wegetacyi, tworzącej jakby naturalny dach zieloności nad jej korytem, wzdłuż którego wznoszą się olbrzymie kumbuki i inne, nieznane mi gatunki drzew rozłożystych, o białej korze i wysoko z ziemi wystających korzeniach. Ulubione to mieszkanie małp, których kolonie tuż pod naszym obozem w konarach wysokich drzew się znajdują. Jest to wprawdzie mały rest-house, lecz tak zniszczony i nędzny, że wolimy pod namiotem zamieszkać.

Wczoraj przed wieczorem odwiedziłem wspomnianego lorda Cairns'a, którego zastaliśmy jeszcze w Iali, obozującego z ogromnym taborom i świtą na przeciwległym brzegu rzeki. Tabor jego duży i liczny, jak osada. Dwadzieścia bryk wołowych i przeszło stu ludzi tworzy karawanę myśliwską. Lordowi towarzyszy drugi Anglik, planter, na Cejlonie zamieszkały, który mu całą wyprawę urządził i jako obeznany z miejscowością, nią kieruje. Sześć tygodni są już w dżungli i obecnie wracają ku Hambantocie. Zapewniają mnie, że najbogatsze w zwierzynę rewiry rozpoczynają się dopiero od Iali i ciągną się w głąb kraju do Mandagala i wzdłuż morza po rzekę Kum-

bukkan. Pokazują mi swe liczne i pyszne trofea: Cztery słonie, siedm bawolów, jednego lamparta, wiele jeleni, skórę z aligatora olbrzymich rozmiarów, — chyba dwa razy taki być musiał, jak ten, którego onegdaj nad brzegiem jeziora widziałem. Skóra mierzy 18' długości, z obwodem cielska, jak u sporego wolu. Opowiadają mi, że owo monstrum od kilku lat było postrachem okolicy, jak smok legendowy, napastując ludzi i zwierzęta, i nawet rzucało się na pławiące się bawoły. Siedziało zwykle w rzece, czasem tylko nocną porą przechodząc do niewielkiego jeziora, opodal rzeki Kumbukkan. Tej chwili wyczekiwali Anglicy, i gdy alligator przeszedł do jeziora, poczęli nań czatować. Postrzelili go śmiertelnie, lecz umknął do wody. Pragnąc osiąść koniecznie ciekawą zdobycz, wpadli na concept równie oryginalny, jak dowcipny: postanowili poprostu spuścić jezioro. Spędzono kulisów i po kilku dniach robót woda wyciekła, odkrywając olbrzymie cielsko martwego już alligatora.

Podziwiam rozumne urządzenie obozowe Anglików i praktyczne przyrządy rozliczne, do życia pod namiotem zastosowane. Przedewszystkiem zazdroścę im refrygeratora, czyli przyrządu do chłodzenia napojów; i piekarza, dzięki któremu codzień świeże pieczywo mają do stołu. My staramy się ochładzać trunki rozmaitemi sposobami, równie sztucznymi, jak bezskutecznymi, a miasto świeżego pieczywa, mamy suchary. Lecz drobny to szczegół wobec dokuczliwego braku dobrej wody w dżungli. Żaden filtr nie wystar-

cza, by ją do picia zdatną uczynić; zresztą wody w dżungli bezwarunkowo pić nie należy. Nietylko do herbaty i do kuchni, ale nawet do mycia i kąpieli nie jest przydatna.

Źródeł w dżungli niema; wszelką wodę bierze się ze stojących kałuży i drobnych jeziorek, w których resztki z sezonu deszczów cały zapas wody na okrągły rok stanowią. Jedynie w pobliżu rzek woda bywa przynajmniej świeża i czystsza, i dlatego obóz nad Ialą tak przyjemny, bo daje sposobność skosztowania lepszej wody i użycia rozkosznej i chłodnej kąpieli.

Pożegnałem Anglików, którzy dziś do Butawy się przenoszą. Rankiem cały obóz ruszył oglądać ubitego wczoraj słonia. Z trudnością odnaleźliśmy naszą ścieżkę wczorajszą i dobili się do leżącego zwierza. Wypychacze wzięli się do obcinania nóg i trąby, które, jako trofea, pragnę z sobą zabrać i dać wyprawić.

Nasz kucharz w ambarasie, bo od czasu bawołu pustki w spiżarni, świeżego mięsa nie mamy. Całe dzisiejsze popołudnie latałem za pawiami, ale jakby naumyślnie, żadnego na strzał podejść nie zdołałem. Mnóstwo ich widać, spacerują na otwartych polanach i łąkach, ale niech się tylko pokaże myśliwy, choćby o paręset kroków, umykają pieszo do gąszczu.

W Iali widzimy pierwszą od Hambantoty ludzką osadę w dżungli: dwie czy trzy lepianki, więcej do ziemnych kryjówek, niż do chat, podobne, i tyleż szałasów dla bydła, stanowią mieszkanie kilku rodzin napół dzikich krajowców, przypominających bodaj

więcej małpy, aniżeli ludzi. Mimowoli skłania się człowiek do teorii Darwina na widok tych istot, których gesta, ruchy i cały sposób życia o wiele więcej sąsiadów małpiego rodu, niż ludzi przypomina.

Ludzie trudnią się oryginalnem rzemiosłem łowienia dzikich bawołów, przyswajania ich i wprawiania do robót polnych, co się im też zupełnie udaje i znacznego zarobku przysparza. Widziałem całe stado takich przyswojonych bawołów, które szczególnie w drugiej i następnych generacyach, skrzyżowanych z domową rasą, wyrabiają się na doskonale do użycia domowego, zwierzęta. Prymitywny sposób łowienia wymaga od tych ludzi niesłychanej siły i zręczności. W środku dżungli przywiązują do drzewa przyswojoną bawolicę i nocną porą czatuje krajowiec, na temże drzewie zasiadłszy, aż dzika sztuka do przywiązanej podejdzie. Zarzuca jej wówczas gatunek lassa na rogi, czy kark, i do drzewa przyczepia. Jeżeli sztuka młoda, starają się ją przyswoić, starsze zaś wypuszczają, jako niemogące się nagiąć do niewoli.

Sznury do łowienia bawołów sami kręcą ze skóry sambura, i tak mają być mocne, że ich nawet słon zerwać nie jest w stanie. Widzieliśmy jednej z poprzednich nocy złowionego młodego byczka. Stał przywiązany do drzewa z karkiem w drewnianym karkanie, ubezwładniającym go zupełnie, i dziko przed siebie spoglądał, kopiąc i rwąc ziemię racicami. Głodem go wpierw morzą i tem nasamprzód poskramiają, a potem przywiązują do drugiej, starszej już, oswojonej sztuki, która go zawsze i wszędzie przy so-

bie prowadzi i do niewoli przyzwyczajają. Czasami lat potrzeba, nim się taki bawół choć w części przyswoi, ale prawdziwie, jako zwierzę domowe, dopiero w drugiej generacji, w niewoli splodzonej, użytym być może.

Śpieszno nam dotrzeć do rewirów, wychwalonych przez Anglików, i jutro posuwamy się znowu o jeden etap dalej do miejscowości, zwanej Palle-Patana.

24 lutego. Jak zwykle, opuściłem obóz przed wschodem słońca, by dżunglą dotrzeć do Palle-Potana, dokąd moja żona z taborem miała o parę godzin później wyruszyć. Długi marsz mamy dziś przed sobą: z górą 10 mil angielskich.

Na wstępie natknęliśmy się na całą rodzinę dzików, z ojca, matki i z kilkunastu warchlaków złożoną. Takieśmy je cicho zeszli w wysokiej trawie, że warchlaki pod samymi nogami się kręciły. Nie strzelałem, nie chciałem płoszyć grubszej zwierzyny.

Pragnąłem przed południem odwiedzić jezioro, zwane Kanthalajtank, sławne w całej okolicy z ilości ptactwa, wokół się gnieźdzącego, i nie żałuję kilkumilowego zboczenia z drogi, bo nie podobnego w życiu nie widziałem. Miano jeziora właściwie nie jest odpowiednie, bo woda w niem stoi tylko w porze deszczów, w suchym zaś sezonie jest to rozległy, karłowatymi drzewami okolony moczar, z którego gdzieś wysokie kopce się wznoszą. Wszystkie te kopce i setki drzew wokół są literalnie pokryte ptasią młodzią, która, wyleciawszy z gniazd, na nich

się trzyma. Krocie pelikanów, czapli, bąków, bocianów rozmaitych gatunków, flamingów i t. p. żyje tu razem w najlepszej komitywie. Pisk, gwar i wrzask nie do opisania. Młodzież do lotu jeszcze niewprawna, siedzi na drzewach, skrzydłami trzepocząc. Starsze polatują w niewielkiej wysokości, lub spacerują po ziemi. Ostrożni rodzice krążą wysoko w powietrzu, tylko krzykiem starając się ostrzedz młódź przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Połapaliśmy rękoma kilkanaście sztuk pelikaniąt i czapli i udało mi się spuścić z wysokości parę sztuk starych okazów, między którymi ślicznie upierzonego, t. zw. Pelikan-Ibisa (*Tantalus leucocephalus*). Nieco większy od naszego bociana, ma głowę, dziób i nogi jasno-pomarańczowe, skrzydła zielone, zakończone różowymi piórkami, brzuch biały z różowymi odcieniami. Ciekawy ten ptak zamieszkuje tylko południowe okolice Cejlonu i Indyj, oraz wyspy Malajskiego archipelagu, i należy do rzadszych okazów ptasiej fauny tych krain. Tyzenhaus wspomina o nim, nazywając go „dławigadem indyjskim“ (*Ornitologia powszechna*, tom III, str. 293), i twierdzi, że ptak ów odkryty został na Cejlonie przez słynnego ornitologa Forstera.

Ogromną postawą uderza bocian czubaty (*Leptoptillus javanicus*), biorący swą nazwę od pęku piór, które mu sterczą, jak czub, na gołej głowie, ciemnosiwym, z gołą, brzydką, jakby oskubaną szyją. Złapaliśmy parę sztuk młodych tego gatunku, ale starego nie udało mi się dostać. Nazywają go tu niewłaściwie czarnym pelikanem, dla odróżnienia od białego (*Pele-*

canus Philippinesis), który do pospolitych ptaków należy.

Z czapli odróżnić zdołałem: naszą zwyczajną, siwą czaplę (*Ardea cinerea*) i jej pokrewną, purpurową odmianę (*Ardea purpurea*), najliczniej reprezentowany biały gatunek (*Herodias intermedia*) z cenną kitką na głowie, i pospolitą *Bubulcus coromandus*; złapaliśmy żywcem z każdego rodzaju po parę sztuk młodzieży i do obozu zabrali.

Cóż to za pole dla studyów dla ornitologa, gdzie w jednym miejscu zebrany cały niemal wodny i brodzący świat ptasi tych stref dalekich! Wyliczyłem powyżej tylko kilka gatunków, które przypadkiem są mi znane, a dziesiątki innych odmian, których nazwać nie umiem, uszły mej uwagi. Mówiono mi, że na całej wyspie niema podobnie ciekawej pod względem ornitologicznym, miejscowości.

Zabłądziliśmy w dżungli, szukając powrotnej ścieżki do Palle-Potana, już po raz trzeci w tym tygodniu. Najwprawniejszy tropiciel i najlepszy przewodnik gubi się nieraz w tym labiryncie ścieżek i przesmyków, nieczem się nieróżniących jedne od drugich, gdzie niema punktu orientacyjnego: ciągle jedno piasmo niskiej dżungli, małemi polankami przerywanej, i ściana zwartego gąszczu do drugiej, jej podobnej przytyka.

Nie znam nieprzyjemniejszego uczucia, niż błędzić wogóle, czy to w śnieżnej zadymce na stepach Ukrainy, czy w głuchym borze Białej Rusi, czy wreszcie w dżungli podzwrotnikowej. To ostatnie jednak

wydaje mi się najprzykrzejszem; robi się człowiekowi na sercu tak jakoś obco, tak rozpaczliwie nieswojsko i straszno, że ta śliczna, czarująca dżungla, której urok wciąż chwale, przekształca się odrazu w piekielny labirynt, z którego się pragnie wydostać jak najprędzej. Tym razem jednak nie błądziliśmy długo i ładny epizod myśliwski wynagrodził kilkugodzinne zboczenie z drogi. Zeszliśmy niepostrzeżenie dwa jelenie-sambury nad brzegiem jeziora i jednego z nich udało mi się rozciągnąć w chwili, gdy wstawał z moczarka, w którym odpoczywał.

Jeleń-Sambur (*Rusa Aristotelis*), przez Anglików na Cejlonie niewłaściwie łosiem (elk) przezwany, jest najzupełniej tym samym gatunkiem *cervida*, który w Indyach jako sambur jest znany, i którego piękny egzemplarz rogala koło Goony, w Indyach środkowych, ubić mi się udało. Może budowa jego ciała, silna i zasadzista, mniej smukła, niż u zwykłego jelenia, o ciemnej, prawie czarnej sierci, krótki kark, brodaty i gruby łeb wprowadziły w błąd pierwszych, osiadłych na wyspie, sportsmenów angielskich, którzy go za łosia wzięli i jego nazwą ochrzczili. Do dziś dnia miano to przetrwało, choć sami Anglicy błąd ten uznają. Konformacja rogów jest czysto jelenia.

Mój dzisiejszy sambur, duży i łojny, lecz w rogach słaby, jakby myłkus się być zdaje, bo ma tylko dwa krótkie, grube pieńki, niekwalifikujące go na ładne trofeum. Za to dla naszej spiżarni pożądany to kęs. Kulisi wzięli się do ćwiertowania jelenia; najprzód skórę zdjęli, potem wycięli najlepsze sztuki

mięsa dla naszej kuchni i dla siebie. Niema mowy o zabraniu z dżungli całkowitej sztuki większego zwierza, chyba że polegnie pod samym obozem. Ścieżki tak wązkie i gąszcz tak przykry, że zaledwie z trudnością przeciska się kulis, niosący kawały mięsa, skórę, lub inne trofea.

Wracamy do obozu obładowani. Na jednym kiju niosą kulisi mięso i skórę jelenia, na drugim pęk żywych i ubitych ptaków wodnych różnego gatunku.

Obóz nasz zastajemy rozbity w Palle-Potana, w głębi dżungli na łączce, gąszczem okolonej, w cieniu rozłożystego drzewa kumbukku. Trzymamy się wciąż w bliskości morza, którego szum nas dotąd nie opuścił. Dżungla tu się nieco przerzedza, więcej tu otwartych równin, łąk i obszernych polanek, ulubione miejsce wypasów bawołów i jeleni. Grosso modo podzielić można dżunglę cejlońską według jej wyglądu i terenu, na trzy główne rodzaje, które Anglicy pod następującymi nazwiskami rozróżniają: „low-jungle“, czyli dżungla niska, w której się właśnie znajdujemy, utworzona z ciemnego gąszczu niskiej, karłowatej i kolczastej roślinności, gdzieniegdzie tylko halawami przerwana; „big-jungle“, czyli knieja we właściwym znaczeniu i w naszym pojęciu tego słowa, częściej w okolicach górzystych, lub w bliskości większych rzek się trafiająca; wreszcie „open country“, czyli szerokie równiny, wysoką trawą porośłe prerie, z rzuconym tu i owdzie klombem drzew i gęstwiny. Naturalnie podział ten bardzo powierzchowny i pobieżny, nie w każdej okolicy da się zastosować; nie-

raz wszystkie trzy rodzaje zlewają się razem w całość jednej kniei.

25 lutego. Przy niedzieli dzień odpoczynku. Rankiem posłałem starego Maulana i Soult'a na zwiady tropów, wrócili z dwoma pawiami dla naszej kuchni i raportują, że moc świeżych śladów wszelakiego zwierza widzieli. Zdają się potwierdzać zaewnienia Anglików, że najlepsze rewiry są między Yalą a Mandagalą. Dzień drogi nas oddziela jeszcze od tej ostatniej miejscowości, która będzie zarazem stanowiła kres naszej marszruty.

Czas mamy wciąż jednakowy, jasną, słoneczną pogodę, ze świeżym wiatrem od morza. W południe do 3-ej skwar niemal nie do wytrzymania, wieczory i ranki znośne, noce stosunkowo nawet chłodne. Temperatura trzyma się w dzień stale od 22 do 24° R., nad rankiem przed samym wschodem słońca spada do 18°; jest to najniższa cyfra, jaką wskazywał termometr w ciągu naszej wycieczki. Wogóle na klimat ani razu uskarżać się nie mieliśmy powodu, a zachowując odpowiednie ostrożności i reguły życia i ubrania, nie cierpi się zbyt gorąca. Słońca się strzedz, zbyt nie męczyć i wody nie pić—to główne reguły życia w dżungli dla Europejczyka.

Klimat nad brzegiem morza jest uważany za zdrowy; im więcej się posuwa w głąb kraju, tem groźniejszem staje się niebezpieczeństwo złośliwej gorączki, nie tylko dla białych, lecz i dla krajowców fatalnej. Bogu dzięki, prócz mało znaczących objawów u kilku naszych ludzi, nie mieliśmy w naszym obozie wypadków go-

rażki; niebezpieczeństwo jednak nie minęło, bo niemila ta choroba objawia się nieraz dopiero w tydzień po opuszczeniu dżungli. Chinina stanowi jedyny, radykalny środek leczniczy i znakomite praeservativum.

Wogóle jednak ta część Cejlonu do niezdrowych należy. Z obawy gorączki myśliwi i podróżni trzymają się zawsze morskiego wybrzeża, a ludzkie osady tylko w bezpośredniej jego bliskości się znajdują. W głąb kraju, aż do granicy górzystych okolic, bezludzie kompletne. Wiele przyjemności w obozowym życiu zależy od mniej lub więcej praktycznego i wygodnego urządzenia sobie egzystencji w ten sposób, aby o ile możliwości, na niczem nie zbywało. Co do nas, mamy z wyjątkiem braku drobnych szczegółików, jak refrygatora i t. p. zbytków, tak pod względem doboru ludzi, jak i urządzeń, wszystko, czego tylko zapragnąć możemy.

Pozwolę sobie przy tej okazji do ewentualnego użytku amatorów, wypowiedzieć zdanie, że wybierając się na podobną wyprawę, nigdy dosyć różnych rzeczy potrzebnych do wygodnego życia, zabrać z sobą nie można. Jedna lub dwie bryki wołowe i stosowna liczba kulisów, mniej lub więcej taboru zbyt nie zmieni, ani go nie przeciąży, a nigdzie zwyczajny komfort do codziennego życia należący, nie sprawia więcej przyjemności, niż w dżungli pod namiotem. Spartanizm chwalebny tam, gdzie go potrzeba, ale polowanie to przyjemność, nie obowiązek, i należy je sobie tak urządzić, by rzeczywiście przyjemność sprawiało. Zresztą zależy to wszystko od indywidualnych zapa-

trywać; powyżej wypowiedziałem tylko swą opinię osobistą, popartą przykładem Anglików, którym chyba braku hartu i wytrzymałości zarzucić nie można, nikt zaś więcej od nich nie kładzie wagi na wygodę i drobne przyjemności codziennego życia wszędzie i zawsze, gdzie się znajdują, o ile to naturalnie z głównym celem ekspedycyi połączyć się daje.

Nam zaczyna braknąć świec, cukru i herbaty, a co gorsza—ładunków do sztukców. Licząc na mniejszy ekspres, zdatny na wszelką zwierzynę prócz słoni i bawołów, tylko po 50 sztuk kul do każdego grubego kalibru zabrałem: tymczasem po stracie starej Lebedówki muszę do wszelakiej zwierzyny z ciężkiego ekspresa strzelać i pozostaje mi do niego tylko 35 ładunków, wprawdzie są w rezerwie kule do Colindianu.

Powyższa wzmianka o życiu obozowem naprowadza mię na temat kosztów. O ile w mych „Notatkach z Indyj” wspominałem często o taniości życia na półwyspie Hindustańskim, i małych kosztach urządzenia tam ekspedycyi myśliwskiej, o tyle w zastosowaniu do Cejlonu tego samego zdania powtórzyć nie mogę. W Indyach jest się niemal zawsze i wszędzie proszonym gościem i wydatki dotyczące polowania, są albo żadne, prócz małych darowizn dla ludzi, albo redukują się po rozdziale na wszystkich uczestników, do drobnych kosztów naganki, podwód i t. p. Życie nie nie kosztuje.

Na Cejlonie jest się swym własnym panem i niezawodną, wielką przyjemność tej niezależności trzeba okupić dosyć znacznymi kosztami.

Całą wyprawę należy od A do Z samemu urządzić, zaopatrzyć, wyekwipować, najać moc ludzi, bryk, wołów i t. p., a ceny do tanich bezwarunkowo nie należą. Najem robocizny względnie do roboty bywa nawet śmiesznie drogi. Nasze niepoczesne bryki wołowe kosztują po 2 rupie ¹⁾ dziennie, prócz strawnego dla wołowników, czyli na same bryki wypada 14 rupij dziennie. Kucyki po 4 r. na dobę. Soult bierze 5 r. dziennie; każdy z kulisów, kucharzy, tropicieli, wypychaczów, stangretów i t. p. po 2 r. dziennie, a liczba ich — legion. Do kosztów wyprawy doliczyć trzeba zakupno prowizyi, trunków, wiktualów dla kulisów, koniecznych przyborów i sprzętów kuchennych i t. p., co przy szalonej drożyznie rzeczy europejskich na Cejlonie do poważnej cyfry dochodzi, nie licząc namiotu, który mamy darmo z łaski komisarza rządowego.

Wspominam tu o tem, bo może niejednego te szczegóły zainteresować potrafią.

Pod względem doboru ludzi, nie możemy na nikogo się uskarżać. Znać na wszystkich angielską *treasure* akurattości i uczciwości, a choć wrodzone lenistwo i pewna miękkość w pracy Syngalezów, odpowiadająca zresztą kobiecemu ich wyglądowi, przedłuża niepotrzebnie każdą ich robotę, jednak wszystko zawsze i w swoim czasie, bez zbytniego napędzania, jest wykonane. Swoją drogą dziesięć rąk europejskich potrafi zrobić to, do czego mamy tu z górą trzydziestu

¹⁾ Nominalna wartość rupii 2 fr.; obecnie nizko stoją.

ludzi. Do rozpięcia i ustawienia, ewentualnie zwinięcia namiotu, jest dwóch ludzi specjalnych, pomocników kucharza dwóch, do noszenia wody, rąbania drzew, czyszczenia naczyń — po jednym człowieku, wypychaczów trzech, z których jeden, jakiś mieszaniec holenderski, prawdziwy artysta, uczeń słynnego Ward'a w Londynie; wreszcie zgraja wołowników, tragarzy, stangretów i t. p. Podział pracy na Cejlonie jest widoczny, choć nie tak ściśle, jak w Indyach, prowadzony.

Główny impresario naszej wyprawy, Soult, stanowi dziwny typ Syngaleza-sportsmena, łączący w sobie zwykłą krajowcom miękkość i lenistwo z wrodzonymi zdolnościami do myślistwa, ujętymi w angielskiej tresurze w karby porządku i rutyny. Od dzieciństwa tłukąc się po dżungli z oficerami angielskimi, pierwotnie jako skromny kulis, noszący amunicję, potem jako tropiciel i przewodnik, nabrał doświadczenia, poznał zwierza i jego kryjówki, i powoli wyrobił się na aranżera wypraw myśliwskich, najlepszego, jaki dziś jest na Cejlonie, przytem stara się być uczciwym, i co najważniejsza, ma zamiłowanie do swego fachu. Prócz myślistwa, interesuje go historia naturalna; posiada nawet, dzięki jednemu z niemieckich profesorów, z którym podróżował, dosyć rozległe w tym względzie wiadomości. Trudni się ornitologią, umie nieźle wypychać, zbiera wszelakie owady, — mamy nawet z sobą w tym celu osobnego chłopca do łapania motyli i coleopterów.

Soult posiada chlubne świadectwa od wszystkich

niemal cudzoziemców, którzy ostatniemi laty w myśliwskich celach Cejlon odwiedzali i którym wyprawy urządzał. Dumny jest ze swej zagranicznej klienteli i najwięcej się szczyei świadectwem od arcyksięcia austriackiego Franciszka Ferdynanda, z którym w r. 1892 w okolicach Kandy polował i trzy słonie ubić mu dopomógł. Wogóle jest to człowiek do tego jedyny i nader przydatny. Ubiera się z angielska i myśliwska czapka, której nigdy nie zmienia, pocieszenie wygląda na syngalezkiej figurze kobiecej.

Dzień dzisiejszy, przeznaczony na odpoczynek, omal że się nie zakończył źle dla mnie, i sprowadził, niestety, nową katastrofę dla jednej z mych strzelb, najważniejszej z całego arsenału.

Wyszliśmy oboje z obozu wieczorkiem, więcej dla spaceru, niż na polowanie, ze zwykłą, liczną świtą kulisów, broń niosących. Byliśmy może o pół mili od obozu i skręcaliśmy z kołowej drogi do gąszczu, gdy idący ostatni kulis, od kucyka mej żony, krzyknął, że zoczył słonia, wchodzącego do gąszczu o kilkadziesiąt kroków opodal. Chwila zamieszania, zrywania strzelb, gorączkowe nabijanie, i — zostawiwszy żonę pod strażą starego Maulana i kilku Syngalezów, puściłem się z bijącym od emocyi, sercem w stronę, gdzie słoń wlaź do gąszczu.

Szedłem naprzód z grubym kalibrem, za mną Soult z ekspressem do zmiany, Ferek, Abanti i t. d. Nie doszliśmy do gęstwiny, a już łomot gałęzi zdradził obecność gruboskórców. Ujrzałem naprzód w gąszczu małego słonika, a za nim stał drugi nieduży, o kilka

kroków dalej trzy grube sztuki. Wszystkie stały zadami ku mnie, kłapiąc głośno uszami, zwrócone do małej kałuży, z której zamierzały widocznie pragnienie zaspokoić. Zbliżyłem się jeszcze o parę kroków i wyszedłszy na małą ścieżynkę, wybrałem najgrubszą i najbliższą ode mnie, *en trois quarts* stojącą sztukę, i celując za ucho, dałem ognia. Jak błyskawica zwrócił się kolos po strzale na miejscu, jakby go kula wcale nie dotknęła, i ze zwiniętą w górę trąbą, gwiżdżąc straszliwie, ruszył wprost na mnie.

Uprzedzono mnie, że ze słoniem, gdy trąbę zwinie do ataku, niema co żartować. Wytrzymałem go jeszcze parę kroków i *à bout portant* z lewki w leń wypaliłem. Nie zapomnę w życiu wyglądu bestyi, a szczególnie złośliwego jej wzroku. Czy go w pośpiechu chybiłem, czy trafiłem za wysoko, dosyć, że pędem sunął ku mnie, jeszcze krok, a byłby mnie trąbą porwał.

W tejże sekundzie grzmot strzału i świst przelatującej mi nad uchem kuli, pozbawił mnie nadziei zapasowego sztucea na ratunek: Soult z niego wypalił. Nie miałem co dłużej czekać, cisnąłem strzelbę i wzięwszy nogi za pas, począłem zmykać, co mi sił starczyło. Słyszałem rwetes za sobą, moja świta pierzechnęła, jak stado spłoszonych kuropatw, gdzie kto mógł, ja zaś niefortunnie na czystą polankę się wybrałem, i skręcając za krzak, omal nie dostałem się pod wypadającego z gąszczu, drugiego, małego słonia, który za matką umykał. Długo mi to spotkanie w pamięci po-

zostanie: tak blisko był ode mnie, że się o korpus jego otarłem.

Tymczasem postrzelona, gruba sztuka, porzuciwszy mnie, rzuciła się na Soult'a, który zdołał schronić się na drzewo, i dwukrotnie wściekle nań szarżowała. Soult do tego stopnia stracił głowę, że z drugiej lufy w powietrze wypalił i omal Fereka nie zabił, gdy ten w przeciwną stronę umykał.

Swoją drogą było się czego detonować, a najgorszy ten ryk piekielny, którego wrażeniu najtwardsze nerwy oprzeć się nie zdołają.

W rezultacie słonie, rozproszywszy naszą gromadkę, jako zwycięzcy, opuściły plac boju i cofnęły się do gąszczu.

Moja żona stała o 50 kroków i była świadkiem całej imprezy.

Najsmutniejszy jej skutek dopiero teraz stał się widoczny. Mój sztuciec, który w pośpiechu porzuciłem, dostał się pod nogi słonia, który nań stąpił, i strzelba pękła w rękojeści. Właśnie równo tydzień upłynął od wypadku z Lebedówką, ale dzisiejszy o wiele jest fatalniejszy, bo pozbawia mnie jedynej broni na słonie, jaką posiadam. Strzelba trzyma się wprawdzie śrubkami okucia, lecz drzewo przełamane, i jest obawa, że nie wytrzyma pierwszego strzału i silnego naboju prochu.

Soult mówi, że widział chwilę, gdy słoń goniący za mną, stąpił na strzelbę tylko krajem swej stopy olbrzymiej; dzięki temu i okoliczności, że grunt w tem miejscu był wilgotny, strzelba, wbijając się w ziemię,

uniknęła kompletnego zmiążdżenia. Ex re tego wypadku Soult nam opowiada, że był świadkiem zdarzenia, jak postrzelony słoń, atakując człowieka, porwał sztuciec, wypadły z rąk myśliwego, i uniósłszy go w trąbie, o pierwsze drzewo go roztrzaskał. Niechybnie byłby ten sam los i moją strzelbę spotkał, gdyby ją był pod nogami zauważył.

Rozważając zimno całą przeprawę dzisiejszą, doszedłem do wniosku, iż popełniliśmy kilka grubych błędów z braku odpowiedniego doświadczenia. Primo: nie należy nigdy strzelać do słonia, stojąc na ścieżce, którą słoń przeszedł i prawdopodobnie odejdzie, i gdzie odrazu myśliwego spostrzega; trzeba zawsze starać się z boku go podejść i z gąszczu strzelać. Secundo: zawinił Soult, który mimo swych myśliwskich zdolności i doświadczenia, kompletnie traci głowę w gorących chwilach emocyi i strzelając przed siebie na chybi trafi, zamiast podać broń zapasową, staje się niebezpieczniejszym od słonia samego. Wreszcie: nie należy nigdy w krytycznej chwili odwrotu umykać na gołe miejsce, jak ja uczynilem; wystarczy odskoczyć w bok i w gąszcz się wcisnąć, gdzie krótkowidzący słoń odrazu człowieka z oczu traci, a na pustem miejscu może go gonić i doścignąć.

Co do strzałów, zdaje się, że pierwsza ma kula, strzelona z tyłu za ucho, zgubiła się w fałdach skóry i tylko powierzchownie po czasie się prześliznęła, nie penetrując do głębi; druga na sztych strzelona, trafiła za wysoko w czoło. Ludzie mówią, że widzieli wyraźnie znak farby na czole. Lecz co za siła olbrzy-

mia w zwierzęciu, które otrzymawszy kule 8-go kalibru, wyparte sześciu drachmami prochu, na trzy kroki, nawet się nie zachwiało po strzale! Żałuję, że tu nie ma jednego z wielu t. zw. globe-trotterów lub turystów pseudo-sportsmańskiego zakroju, którzy po powrocie z Colombo, opowiadają i piszą, że polowanie na słonie to rzeź niewiniątek, wzbudzająca żal i litość. Nie tak to łatwy sport, jak się wydaje, a kto żądny wrażeń i emocyi, może przy spotkaniu oko w oko z postrzelonym słoniem zaznać ich więcej, niż za przyjemne uznać będzie w stanie.

Za pomocą mosiężnego drutu, szczęśliwie znalezionej między przyborami Soult'a do wypychania ptaków, owinęliśmy złamaną kolbę i zespolili jak można było najlepiej. Z obawy, że strzał nie wytrzyma, posyłam dziś wieczorem posłańca do Hambantoty do p. Murray'a z prośbą o pożyczanie jakiego grubego kalibru, jeśli go posiada.

Istny feralis mam z bronią: jedyne mu ekspresowi, który mi został, grozi niedostateczny zapas ładunków!

26 lutego. Nowa osobistość przyłączyła się dziś do naszej kompanii. Jest nią słynny tropiciel, nazwiskiem Maduma, z pochodzenia Wedda, znany niemal w całym myśliwskim świecie Ceylonu. Po odjeździe lorda Cairns'a, któremu sześć tygodni służył, jako traker, przyszedł nam swe usługi ofiarować. Przyjęty został z radością. Pierwszy raz mam sposobność oglądać w nim osobnika interesującej rasy Weddów, o której nie mogę tu nie wspomnieć choć w krótkości.

Od czasu, gdy teoria Darwina o rozwoju rodu ludzkiego, negując ogólne, od szeregu wieków istniejące pojęcia o jego genezie, dała wielu uczonym pocho-
p do nowych badań na polu etnografii porównawczej i psychologii, poczęto specjalnie trudnić się studjami nad najniższemi rasami ludzkości, których nie-
liczne resztki z zamierchłej przeszłości aż do naszych czasów przetrwały. Między tymi dzikimi ludźmi natu-
ry, najniższe miejsce zajmują Weddowie, czyli pierwotni mieszkańcy Cejlonu. Głębokie studia i badania odkryły w nich jeden z najstarszych i najprymitywniejszych szczepów rodzaju ludzkiego, który wielu oznakami moralnemi i samą budową ciała zasadniczo od innych ras się różni i więcej do t. zw. antroposimów, niż do zwykłych ras ludzkich, jest zbliżony.

Uczeni klasyfikują Weddów jako resztki prastarej odmiany rasy ludzkiej, t. zw. *varietas primaria* (euplocomon vel cymotrichen), która przed wielu dziesiątkami wieków, na tysiące lat przed Buddhą i erą chrześcijańską zamieszkiwała kontynent dzisiejszego Hindustanu. Stąd zapewne jeden odłam tej rasy prymitywnej pod nazwą Weddów dostał się do Cejlonu. Daleko później zjawili się Syngalezi, powstałi z krzyżowań rozmaitych ras indyjskich, i po długich walkach stali się panami „rajskiej wyspy“, rugując autochtonów w najgłębsze i najniebezpieczniejsze tajniki gór i borów, gdzie do dziś dnia, acz w niewielkiej liczbie, w „rajskim stanie natury“ przetrwali.

Już uczony Tebańczyk, Palladius, wspomina w swych kronikach z IV wieku o dzikich Weddach

Cejlonu, jako o ludziach, na najniższym stopniu kultury stojących, i charakterystycznem jest, że owe opisy z najdawniejszych czasów w całości do dzisiejszego ich stanu zastosować się dadzą. Żyją w niedostępnych kniejach najgłuchszych borów i w skalistych jaskiniach górskich okolic, wolni od trosk i światowego zgiełku, bogaci — bo nie znają potrzeb, obchodzą się bez domostw i gospodarskich narzędzi. Polowanie stanowi ich jedyne zajęcie, a las daje im wszystko, co do życia potrzebne. Żyją zadowoleni i szczęśliwi, otoczeni obcą ludnością, od której stronią i której nie pragną.

Dżungla ich światem, karmicielką i dobrodziejką, alfa i omegą ich egzystencji. Dzisiejszy obszar ich zamieszkania ciągnie się wązkim pasmem górzystej okolicy na północ od rzeki Kumbukkan, wzdłuż wschodniego wybrzeża wyspy, gdzie dżungla jest najdziksza i najmniej zaludniona. Liczbę ich obecną na Cejlonie obliczają na niecałe dwa tysiące, czyli mniej, niż jeden pro mille ogólnej ludności.

Właściwością ich bytu jest, że nie skupiają się razem w liczniejsze osady, lecz żyją izolowani pojedynczymi rodzinami, rozproszeni po lasach i górach. Dzielą między sobą las na osobne rewiry łowieckie dla poszczególnych rodzin i surowo przestrzegają wzajemnie nienaruszalności owych rewirów. Obchodzą się bez stałych domostw i osad, koczując gdzie wypadnie, w cieniu drzew olbrzymich lub w jaskiniach wśród skał niebotycznych. Te ostatnie stanowią zwykłe ich mieszkanie. Śpią na gołej ziemi bez poprze-

dniego urządzenia jakichkolwiek legowisk, i pod tym względem stoją niżej nawet od goryłów i orangutanów, które sobie choćby z liści lub suchych gałęzi legowiska układają.

Organizacyi społecznej nie posiadają; z rodzinnych instytucyj znają małżeństwo, które w pewnych porach między sobą zawierają. Z natury są uczciwi i spokojni; obchodzą się bez praw, przepisów lub sądów.

Wzrostu są małego, budowy ciała chudej i kościstej, odznaczającej się niezwykłą długością rąk w stosunku do korpusu; stopy mają duże i płaskie; wielki palec u nogi, jak u małp, w sporym odstępie od sąsiedniego, na zewnątrz zwrócony, jakby do chwytania zdolny. Kolor skóry ciemno-brązowy. Czaszka mała i śpiczasta, twarz szeroka i płaska, zęby krzywo wystające, jak u karnivora, wreszcie zarost ciemny, i kudłate, długie włosy dopełniają niezbyt ponętnego portretu tej rasy dzikich ludzi natury. Noszą się, jak ich Pan Bóg stworzył, i tylko przy spotkaniu z obcymi, używają na biodrach przepasek z liści splecionych.

Niektóre pojęcia ludzkie, jakie spotykamy nawet u najniższych szczepów afrykańskich murzynów, są im obce, jak np. pojęcie osobistej próżności i jej skutków, t. j. zdobienia ciała; pojęcie potrzeby jakichkolwiek naczyń, sprzętów domowych lub kuchennych. Pokarm roślinny spożywają w surowym stanie; mięso pieką na patyku nad ogniem i obchodzą się bez soli, tego, dla innych ludzi niezbędnego artykułu żywności.

Miód, który wyszukują w dziuplach drzew, zastępują im sól i używają go w różny sposób, jako pokarmu i środka do konserwowania mięsa.

Jedyne narzędzia Weddy to łuk, topór i krzesiwo. To ostatnie w formie drewnianego przyrządu do wzniesienia ognia za pomocą tarcia dwóch kawałków drewna. Palnej broni nie używają, natomiast władają zręcznie i celnie łukiem i strzałą, której przeważną część codziennego pokarmu zawdzięczają. W wyborze potraw nie są wybredni; wyjąwszy mięso pantery i szakala, oraz węzów jadowitych, jedzą literalnie wszystko, co w dżungli chodzi, lata i pełza.

Mają być nadzwyczaj bojaźliwi; niechętnie wychylają się ze swych kryjówek, nie zbliżają się do obcych, a białego boją się, jak ognia. Mówią, że gdy im potrzeba topora lub nowego ostrza do strzały, których sami sporządzić nie umieją, zbliżają się w nocy do osady Syngalezów lub Tamilów i około mieszkania kowala zawieszają na drzewie kawał mięsa dziczyzny i wyrobioną z drzewa formę narzędzia, jakiego posiąść pragną. Krajowcy wiedzą, co to ma znaczyć, biorą mięso jako zapłatę za wyrób żądany, i następnej nocy Wedda podkrađa się znowu dla zabrania przedmiotu, nabytego w oryginalny sposób handlu zamiennego.

Język Weddów, niekompletnie znany, stoi w stosunku odpowiednim do ogólnego, niskiego rozwoju tych ludzi, posiada dziwnie mało wyrazów i posilkuje się przeważnie naleciałościami z języka syngalezkiego i tamilskiego. Wedda mało mówi i mówić nie lubi.

Twierdzono, że śmiać się nie umieją, lecz ma to być nieprawda. Imion własnych nie mają wcale. Pojęcie liczb również jest im obce; podziału czasu na okresy lat, miesięcy, dni i godzin nie rozumieją.

Już z powyższych danych łatwo sobie wyobrazić, w jak ciasnych granicach duchowego życia umysł Weddy się obraca. Religii żadnej nie mają, pojęcie Wyższej Istoty jest im obce, umysł niezdolny wznieść się choćby do najprostszych idei abstrakcyjnych, i dlatego nie są w stanie nauczyć się czegokolwiek. Rząd angielski wprawdzie od pół wieku stara się ich gwałtem nagiąć do kultury i cywilizacyi, lecz wszystkie zabiegi i starania rządu i misyonarzy spелzły na niczem i miały tylko ten skutek, że ich więcej jeszcze od świata odstręczyli, i Wedda wracał równie dziki, jak przedtem, do swych samotnych kryjówek w głuchym borze i do ulubionego łowiectwa.

Wreszcie charakterystycznym jest rysem, że Weddowie nie znają jakiegokolwiek obrządku pogrzebu; skoro umrze jeden z nich, zostawiają ciało nieotknięte na miejscu śmierci, a rozkład materii i dzikie zwierzęta dokonywają reszty.

Setki innych szczegółów życia i zwyczajów tych dziwnych ludzi opowiadali mi Syngalezi w ciągu długich marszów i wieczornej gawędy. Prawdziwie trudno uwierzyć, żeby w dzisiejszych czasach podobnie nisko stojące stworzenia, istniały na Bożym świecie, choćby na Cejlonie, którego jedną z najciekawszych i wyłączną stanowią właściwość. Dłużej się nimi zajmalem, bo sądzę, że niejednego może zaciekawić choć

pobieżny opis tego, nietkniętego przez cywilizację i kulturę, szczepu ludzkiego, który od tysięcy lat przechował się w dziewiczym stanie natury, jako jedyny dziś na świecie istniejący rodzaj protosantropa, i należy do wielkiego konaru pierwotnych ludów indyjskich, z których się i nasza rasa wywodzi.

Kwestya Weddów stanowi do dziś dnia niezbadane pole antropologicznych studyów dla całego zastępu uczonych, przeważnie darwinistów, którzy w istnieniu tej rasy i jej znamionach odnajdują niezbite, według ich zdania, dowody słuszności teoryi Darwina. Porównywają Weddów z Pygmeami Afryki środkowej i odnajdują w obu rasach wiele charakterystycznych znamion podobieństwa, mających stanowić łącznik między pierwotnym człowiekiem Afryki o welnistych kędziorach (*homo ulothrix*) a autochtonem Indyj o długich i falistych włosach (*homo euplocomus*), których obu znowu od antropoidów wywodzą.

Badaniom Weddów zawdzięcza nauka poważne postępy w dziedzinie antropologii porównawczej; szereg dzieł obszernych i poważnych rozpraw stanowi osobną i ciekawą literaturę w tym przedmiocie.

Liczba Weddów na wyspie coraz się zmniejsza. Ostatni cenzus oficjalny z r. 1881-go obliczył ich na 2,200. Ustępując przed cywilizacją, bądź faktycznie wymierają, bądź ulegając asymilacyjnemu wpływowi otaczających ludności, powoli się z nią zespalają i w niej znikają. Stąd powstałi t. zw. wiejscy Weddowie (*Village Veddas*), czyli krajowcy, z Weddów po-

chodzący, którzy z syngalezką rasą się miesza-
li i przyjęli od niej sposób życia i zwyczaje, zachowu-
jąc tylko typ i fizyczne oznaki, Weddom właściwe.

Takim Weddą fin de siècle był właśnie nasz tro-
picieł Maduma, który mnie do powyższej dywersyi na
temat Weddów naprowadził. Od niej do wypadków
dnia bieżącego powracam.

Maduma odznacza się brakiem jednego oka, któ-
re w walce z bawołem utracił. Nie przeszkadza mu
to wszakże widzieć znakomicie i najdrobniejszy szcze-
gół w kniei spostrzegać.

Za jego poradą wyszliśmy dziś z obozu znacznie
wcześniej, niż zwykle, t. j. o dobrą godzinę przed
słońca wschodem. Gwiazdy jeszcze świeciły i zaledwie
jaśniejsza smuga światła na wschodnim horyzoncie
brzask zapowiadała, gdy jednooki Wedda sygnalizo-
wał na rozległej, wysokiej trawą porosłej równinie, du-
żę stado bawołów. Mimo wczesnej pory, już z wypa-
su do gąszczu wracały. Przodem szedł byk potężny,
po grubych rogach widoczny; za nim sztuk ze dwa-
dzieścia rozmaitych rozmiarów. Ze łbami wyciągnię-
temi, z długimi rogami, w tył rzuconemi, snuły się
sznurkiem w wysokiej trawie. Długo nie mogłem oczu
od lornetki oderwać, obserwując ten rzadki widok;
przypomniało mi to widziane na obrazach, stada bizón-
ów na bezbrzeżnych preryach amerykańskiego Far-
Westu.

Kilkaset kroków oddzielało nas od bawołów.
Wedda, bezustannie kierunku wiatru próbując, starał
się krajem gąszczu drogę im zaskoczyć. Czy nas je-

dnak zwietrzyły, czy przeczuły niebezpieczeństwo, dosyć, że byk, przodem idący, puścił się w galop, a za nim reszta pędem ruszyła. Biegliśmy, co nam tchu starczyło, by im drogę przeciąć, zdawało się jednak, za późno, bo znikwały jeden za drugim. Przystanęłam wreszcie, nie mogąc dłużej zwlekać, i obrawszy dwie sztuki ostatnie, strzeliłem do nich na dosyć znaczny dystans. Zniknęły w gąszczu, lecz jasna struga farby na miejscu postrzału dodała nam otuchy, że kule nie chybiły celu. Obie sztuki leżały martwe z kulami w komorach o kilkadziesiąt kroków: duża bawolica i spory byczek.

Najładniejszy to dublet z mojej kariery myśliwskiej.

Nasza spiżarnia polowa zaopatrzona na kilka dni.

Przed południem złączyliśmy się z naszym Tatem, który rozłożył się obozem w miejscowości zwanej Mandagala. Uchodzi ona za centrum najlepszego rewiru na wyspie. Nasze bryki i namioty rozstasowały się na białym piasku wyschłej rzeki koryta, między dwiema ścianami ciemnej, bujnej roślinności. Nie mieliśmy jeszcze tak oryginalnego obozowiska i nigdzie nie byliśmy tak daleko w głębi dżungli po za światem i drogą wszelaką. Na białym piasku koryta widoczne tuż pod namiotem, wyciśnięte, świeże tropy słoni, panter i jeleni; spostrzegamy też po raz pierwszy ślady czarnego niedźwiedzia (*Ursus labiatus*). Malpy harcują wokół i niepokoją nas ciągłą wrzawą i szelestem w gałęziach. Teren tu falisty,

olbrzymie bloki granitu i skaliste głazy piętrzą się wokół, formując jakby górski łańcuch, oddzielający nas od morza, od którego pierwszy raz odsunęliśmy się nieco w głąb kraju. Rozłożyste platany, smukłe akacje i olbrzymie drzewa kumbukku nadają tu dżungli cejlońskiej cechę nieco odmienną, jakby do kniei w naszym pojęciu tego słowa, zbliżoną. Zamierzamy pozostać tutaj przez parę dni i należycie całą okolice spenetrować.

Przed wieczorem próbowałem szczęścia na jelenie-axisy, których liczne stada te strony zamieszkują nie wiedzie mi się jednak z tym gatunkiem cervidów i prócz jednego, nieodnalezionego postrzałka, nie mam nic więcej do zanotowania. Do kolekcji trofeów dodajemy nową zdobycz w postaci węża Pythona (rock snake). Zeszliśmy go na łące, gdzie prawdopodobnie na ofiarę czatował. Mierzy 7 stóp długości i do niezbyt wielkich liczy się okazów, gdyż dorosłe sztuki dochodzą do 14 i 16 stóp długości. Wpakowałem mu na dwa kroki kulę z Colindiana, lecz wil się jeszcze po strzale i kulisi kijami go dotłukli.

Pierwszy raz dziś przed nocą rozpalają ognie dookoła obozu z obawy przed drapieżnikami. Malowniczo to wygląda i dziwnie nastraja wyobraźnię w tem otoczeniu kompletnej dziczy głuchego boru.

27 lutego. Wczoraj przed północą słyszeliśmy odbywające się w dżungli słonie. Jak huk dalekiego grzmotu, rozległ się nasamprzód gruby, przeciągły ryk pojedynczego byka, odpowiedział mu drugi i trzeci, potem stado się odezwało całą skalą tonów, od do-

nośnego głosu grubej sztuki do piskliwego kwiku małego słonika; ze wszystkich stron grzmiały głosy olbrzymich gruboskórców, zlewając się w całość potężnego huków, który tysięcznym echem odbijał się w załomach gór i skalistych wertepów. Dużo ich być musiało, bo się dżungla aż trzęsła od tych dziwnych tonów, to grubych, jak ryk grzmotu, to piskliwych i syczących.

Długo usnąć nie mogłem; najdziksze sceny myśliwskie snuły się w rozbudzonej wyobraźni...

Widocznie mam szczęście do bawolów, bo rankiem zeszlśmy znowu spore ich stadko, z których grubą sztukę udało mi się w ogniu rulować; z lewki do drugiej chybiłem. W dalszym pochodzie natrafiliśmy na ogromne stado jeleni axisów, pasących się na obszernej równinie, pokrytej jakąś dziką, karłowatą jabłonią. Na szerokiej przestrzeni żółciały wokoło wśród krzewów, a między nimi kilka wspaniałych rogalów o smukłych i wysokich rogach. Jelenie te, wyglądem i ruchami, są zupełnie podobne do danieli, i jak one, zwykle stadami się trzymają; w rogach się różnią, nie mając nigdy łopat, tylko zwyczajne rogi jeleniej formacji. Ostrożne są bardzo i na blizki dystans podejść je trudno, chyba, że sprzyja wyjątkowo korzystny teren, dający możliwość ukrycia się przed ich bystrym wzrokiem. Z za jednego krzaka za drugi przeskakując, sunęliśmy do nich na czworakach w wysokiej trawie, co, wobec możliwości napotkania węzów, nie należy do wielkich przyjemności. Raczkując przodem, natknąłem się na stado dzików, którego w za-

kryciu wysokiej trawy przedtem nie spostrzegliśmy. Maciora, pod którą o kilka kroków podlażłem, groźnie na mnie spojrzała, nie mogąc sobie widocznie zdać sprawy, co to za stworzenie się zbliża, i chwilę miałem stracha, że, zakrywając warchlaki, opodal stojące, atakować mię będzie w obronie swej progenitury. Zerwałem się na równe nogi, i dopiero wówczas w bok prysnęła. Zepsuło to nam jednak jelenie, które nas zoczyły i uszły.

Odczuwam dotkliwie brak lżejszego sztucea, gdyż strzały z ciężkich kalibrów, szczególnie na dal-sze dystanse do mniejszej zwierzyny, są nader niewygodne, i dotąd nie udało mi się, mimo kilku prób nie-udatnych, ubić jelenia axisa.

Druga połowa dnia bieżącego wzbogaciła pięknym epizodem skarbnicę mych wspomnień myśliwskich i dodała drugiego słonia do rozkładu naszej wyprawy. Moja żona pragnęła jeszcze raz słonia w dżungli zobaczyć i po południu wyszliśmy oboje z obozu, trzymając się koryta rzeki. Dżungla tu gęsta, wysokopienna, bujną roślinnością podszyta, a tak zbita i strątowana przez słonie, jakby wszystkie gruboskórce całego Cejlonu rendez-vous tu były sobie dały. O śledzeniu świeżych tropów nie było mowy, bo za dużo ich było we wszystkich kierunkach. Szliśmy niemi poprostu „na podumajkę“, jak to mówią, tylko na wiatr zważając.

Dwa słonie, zwietrzywszy nas, ruszyły niedaleko przed nami. Słyszałem wyraźnie, jak powietrze trąbą wciągnęły i uszły, zakryte gąszczem. Wyszli-

śmy na jaśniejsze miejsce i przystanęli chwilę, by, wobec złego wiatru, o dalszym kierunku naszych kroków się naradzić. Rozmawiałem półgłosem z Soulttem, strzelbę oddałem Ferekowi i chciałem sobie coś przy ubraniu poprawić, gdy jeden z kulisów, stojący za mną, chwycił mnie gwałtownie za ramię i ręką wskazał przed siebie. Jak siwy blok granitu, pod gąszczem, o 20 kroków przed nami, stał nieruchomie słoń, ze spuszczoneym łbem i trąbą zwieszoną. Aż mię ciarki przeszły w tej chwili: byłem bez strzelby, moja żona obok i słoń o 20 kroków... Czy spał, czy nas nie zauważył, czy też nasze towarzystwo groźnem mu się nie wydało,—dosyć, że stał sporą chwilę, jak mur.

Abanti podskoczył z grubym kalibrem i dopiero, gdy Soult począł mą żonę na bok, za leżący tuż obok, duży głaz granitu, śpiesznie odprowadzać, słonisko ruszyło się ze swej apatycznej pozycyi i w bok się zwróciło. W tej chwili posłałem mu pierwszą kulę, która, jak się później okazało, trafiła ponad samem okiem i wzroku go pozbawiła. Zachwiał się po strzale i padł, lecz dźwignął się ciężko i począł, zataczając się, jak pijany, powoli uchodzić. Bił się o drzewa, łamiąc pnie i gałęzie, i ryczał przeraźliwie z bólu i złości. Porwałem ekspres i puściwszy się w poгон za ciężko rannym zwierzem, trzy razy jeszcze *à bout portant* do niego strzeliłem. Dopiero trzecia kula za ucho powaliła go martwego na miejscu. Dziwnie się przewrócił na łeb i przednie nogi, a zadniemi się podparł i w tej klęczącej pozycyi pozostał. Sztuka

nie była bardzo duża, lecz małemi klami opatrzona, co u słoni cejlońskich do rzadkości należy.

Słonia mierzy się, jak konia, przez łopatkę. Zwyczajna wielkość dorosłej sztuki wynosi 8—9' od ziemi do wierzchu łopatki, lecz są sztuki wyjątkowo duże, do 12' miary dochodzące.

Jestem przekonany, że gdyby nie utrata jednego oka od pierwszej kuli, co mu ucieczkę utrudniło, dając mi możność dogonić go i dobić, byłby i ten słon umknął i przepadł. Niesłychana jest żywotność tego zwierza, a raczej jego siła odporna przeciw wszystkim pociskom, które do mózgu nie dochodzą. Pierwsza moja kula utkwila mu w kości nad samem okiem.

I tak pierwszy dzień w Mandagali wzbogacił słoniem i bawołem rozkład naszej wyprawy. W obozie ryk słonia było słyhać tak wyraźnie, że formalny popłoch powstał między Syngalezami.

Zapas ładunków do ekspresu topnieje: pozostaje mi po dniu dzisiejszym 18 sztuk. Mój gruby sztuciec, drutem zespolony, z którego dziś raz do słonia strzeliłem, wytrzymał strzał szczęśliwie. Jest nadzieja, że do końca wyprawy dotrzyma.

28 lutego. Ubiegłej nocy słonie powtórzyły koncert i tak blisko podeszły do obozu, że się woły do ucieczki zerwały i spłoszeni Syngalezi całą noc przy ogniskach wartowali. Szczególnie od strony, gdzie leży wczorajszy nieboszczyk, najgłośniejsze dochodziły ryki, jakby głosy żalu i groźby od krewnych i przyjaciół, zebranych wokół poległego towarzysza.

Żona moja poszła zrana odfotografować go w tej dziwnej pozycji, w której upadł, ja zaś na zwykłą tournée po dżungli się wybrałem. Emocyonujące miałem spotkanie z nowym zwierza rodzajem. Przedzieraliśmy się przez ciemny gąszcz, wśród bloków granitu i urwistych kamieni, gdy ujrzałem nagle nad skałą wystający, kudłaty łeb czarnego niedźwiedzia. Wsparty przednimi łapami na kamieniach, przypatrywać się zdawał ciekawie naszemu pochodowi. Nim zdołałem sztuciec zerwać z ramienia i strzelić, okazała łatwego strzału minęła; niedźwiedź zniknął właśnie za skałą, gdy mu kulę posłałem. Widocznie jednak coś dostał, bo przewalił się na drugą stronę, odbierając możliwość powtórnego strzału i mrucząc groźnie, jakby tarzał się w miejscu. Gdy podbiegliśmy, już niedźwiedzia nie było, tylko doszedł nas z gęstwiny szelest uciekającego zwierza. Farby nie znaleźliśmy, tylko sporo kudłów, jak gdyby kula powierzchniowo po futrze go dotknęła.

W ten sposób straciłem, niestety, sposobność ubicia pięknego zwierza, który acz do pospolitych mieszkańców cejlońskiej dżungli się liczy, jednak dosyć rzadko w rozkładzie myśliwego figuruje.

Czarny niedźwiedź (*Ursus labiatus*) zamieszkuje skaliste jaskinie górskie i niedostępne urwiska górzystych okolic, z których tylko o pewnych porach roku do niższych, bliżej wody położonych regionów się zbliża. Spotkanie z nim od przypadkowego szczęścia zależy: specjalnie polują nań myśliwi na zasadzkę, w noc księżycowe, nad wodopojem zasiadając. W In-

dyach widziałem raz ten gatunek niedźwiedzia, lecz do strzału nie przyszedłem.

Nareszcie udało mi się ubić dzisiejszego ranka dwa jelenie-axisy, rogacza-widlaka i lanię. Ostatnią zabiłem przed spotkaniem rogacza i byłbym nie strzelał, gdyby mnie nie skusiły do tego względy spiżarniane. Strzeliłem ją ze stadka, w którym ani jednego rogacza nie było, gdy galopem umykała do gąszczu. Dziwnym trafem, biedaczka, w chwili gdy padała w ogniu, ugodzona pękającą kulą z ekspresu, dała życie młodemu jelonkowi, który przyszedł na świat zupełnie zdrowy i od kuli nienaruszony. Przykry był widok maleńkiego biedactwa, kwilącego obok konającej matki, i szczerze żałowałem, iż byłem sprawcą tego rodzinnego dramatu. Zabraliśmy maleństwo do obozu i starali się wyżywić je kokosowem mlekiem, lecz zdechło niebawem z braku odpowiedniego pokarmu, bo zresztą było zupełnie zdrowe i normalne.

Powróciwszy do obozu, zastałem w nim dobrą nowinę, że jednego z mych słoni, postrzelonych koło Butawy, odnaleźli krajowcy już nieżywego, i trofea, t. j. trąbę, ogon i nogi, wprost do Hambantoty do rządowego komisarza odnieśli. Wiadomość tę przyniosło kilku krajowców z jednej z osad nadmorskich, i opowiadają, że słon postrzelony zapędził się nad samo morskie wybrzeże, tuż pod ludzką osadę. Padłszy, ryczał długo, co zwróciło uwagę mieszkańców, którzy nazajutrz go w tem miejscu już martwego znaleźli. Kilka dni już od tego zdarzenia upłynęło, i daty zgadzają się z dniem, w którym do czterech słoni koło

Butawy strzelałem. Mimo wszelkiego prawdopodobieństwa, że znaleziony słoń do mnie należy, wolę go sobie nie liczyć, bo pewności niema, i Soult mnie przestrzega, że krajowcy często takie sztuki układają, w chęci wyludzenia bogatego bakszyszu.

Po południu wybrałem się na gołębie i zabiłem trzy pary, a między nimi dwa śliczne okazy zielonego koloru z niebieskimi dzióbkami i różowymi łapkami (Osmotreron bicincta); będziemy mieli smaczne pieczyste na dzisiejszy obiad. A propos pieczystego, nie mogę tu nie wspomnieć z uznaniem o naszym syngalezkim kuchmistrzu. Karmi nas doskonale i gotuje tak smacznie, czysto i zdrowo, że w niejednym quasi-pierwszorzędnym hotelu na Wschodzie a może i w Europie, kuchnia nie bywa lepsza od naszej obozowej. Dodać trzeba, że obchodzi się bez wszelkich wygod i sprzętów, gotując w paru garnkach na ogniu, rozłożonym na ziemi, w jamce między dwoma kamieniami. Nasze menu polowe, złożone zwykle z produktów polowania: zupa jelenia, sztuka mięsa bawola, paw lub kogut leśny z rożna — stanowią nasze codzienne, smaczne i zdrowe potrawy. Nad morzem mamy niemal codziennie doskonałą, świeżą rybę i raki.

Polowanie na najgrubszego zwierza trudno połączyć ze strzelaniną do ptaków, która ogranicza się *au stricte nécessaire* na potrzeby kuchenne; kogut leśny, paw, gdy się uda, lub gołębie, jak dzisiaj, dostarczają codziennie świeżego pieczystego. Tysiące przepiórek mieszka w dżungli, w wysokich trawach i zaro-

ślach, wyrывая się co krok z pod nóg przechodnia. Gatunek, zdaje mi się, odmienny od naszej przepiórki, jaśniej upierzony z ciemno-bronzowemi brzuskami (*Hypothaenidia striata*).

Nasz traker, Maduma, przechodzi wszystko, co dotychczas w tym fachu widziałem. Jego spryt myśliwski to chyba nie zdolność, wyrobiona wprawą, lecz instynkt niemal zwierzęcy. W labiryncie ścieżek, w najciemniejszym gąszczu oryentuje się, jakby po ulicach znanego mu miasta; jedynem swem okiem widzi, czy też odgaduje w dżungli tysiące znaków, dla mnie niedostrzegalnych, a dla niego będących tajemniczym alfabetem, którym czyta w otwartej księdze przyrody i nie myli się nigdy; po tropie to albo biegnie, jak wyżej, to skrada się, jak pantera, i z niesłychaną zręcznością umie zbliżyć się do zwierza i myśliwego do strzału doprowadzić. Zna każdy przesmyk, każdą kryjówkę lub wodopój, wie, z której strony do niego dojść najdogodniej, skąd strzał najłatwiejszy. Przytem spokojny, nie gorączkuje się niepotrzebnie, nie szwargoce tyle, co każdy Syngalez, a szczególnie Soult; łąpie tylko wokoło swem okiem ruchliwem i mknie naprzód na czele naszej drużyny, na miga się ze mną porozumiewając, skoro zwierza ujrzy lub jakiś trop ważniejszy odkryje. Nie darmo płynie krew Weddów w tem dziecku natury, i powtarzam, że podobnego sprytu, czy instynktu myśliwskiego, jak w Madumie, w życiu dotąd nie widziałem.

1 marca. Gorąco się wzmaga i z braku wiatru więcej się czuć daje. Dziś w południe termometr

wskazywał 28° Réaumur'a w cieniu. Brak wody do-
tkliwy. Kulisi wykopali wprawdzie małą studzienkę
w piasku rzeki koryta, i pokazała się woda, lecz bar-
dzo mętna i brudna. Dzień dzisiejszy zeszedł dosyć
blado, bez godnego zanotowania zdarzenia. Pierwszy
raz od początku wyprawy, nie spotkałem w dżungli
zwierzyny na strzał, i prócz kilku ptaków, z ni-
czem do obozu wróciłem.

2 marca. Nie bez żalu opuszczamy uroczy nasz
obóz w Mandagala, wokoło którego ubiłem słonia,
trzy bawoły i dwa jelenie, prócz drobnej zwierzyny,
i miałem spotkanie z niedźwiedziem. Cofamy się do
Uda-Pottana i zajmujemy poprzednie stanowisko. Rano
i po południu bezowocnie tłukłem się po dżungli, nie
mogąc przyjść do strzału do grubej zwierzyny. Ma-
duma podprowadził mnie do stadka bawołów, lecz
w takim gąszczu, że on sam więcej odgadywał jego
bliskość, niż go widział, a ja nie dojrzeć nie zdo-
lałem.

Za to mój mały zbiór ornitologiczny wzbogacił
się dziś ślicznym okazem rzadkiego dzioborożca czar-
nego (*Anthracoceros coronatus*), którego mi się po-
dejsć i z drzewa ściągnąć udało. Niesłychanie jest
ostrożny i trudny do ubicia, co podwaja jego wartość,
jako jednego z najciekawszych okazów ptasiej fauny
Cejlonu. Czarny dzioborożec żyje w południowych
Indiach, na Cejlonie i wyspach Malajskiego archipe-
lagu, i odznacza się ogromną, w górę wygiętą naro-
słą kostną na dużym i szerokim dziobie, co mu nada-
je wygląd dziwnie anormalny, a w mowie krajowców

miano ptaka o dwóch głowach przysparza. Próbowaliśmy go na pieczone, lecz czarne jego mięso jest twarde i niesmaczne. Znany jest z historyi naturalnej jako zazdrosny małżonek, który swą połowicę, gdy jaja w dziuplach drzew wysiaduje, zamurowuje dopóty, aż młode z jaj się wyklują.

Tak zwana sucha burza przeciągnęła dziś nad nami. Czarne chmury, wichrem gnane, pędziły od oceanu i zaciemniły wokoło horyzont; zdaleka grzmot huczał przeciągle, jakby ryk salw armatnich; czasem piorun rozdarł ciemną chmur zasłonę, a szum rozhuhanego morza coraz głośniejszym się stawał. Skończyło się krótkim deszczem, pierwszym i ostatnim, jaki w tych stronach Cejlonu widziałem.

3 marca. Po wczorajszej burzy i deszczu słońce jasno wstało na pogodnem tle nieba, oblewając złotym blaskiem gorącego światła poranek dnia, który byłbym mógł zaliczyć do najpomysłniejszych całej wyprawy, gdyby nie istniała feralność, prześladowająca mnie, a raczej moje kule. Choć doszedłem już do liczby dwóch słoni, którą pierwotnie zakreśliłem sobie, jako limitę, biorąc licencję na duże tylko sztuki; jednak nie mogłem oprzeć się żądzy spotkania się jeszcze raz z tą rzadką zwierzyną. Wczesny brzask dzienny zastał nas już na tropie kilku grubych sztuk. Niebawem doszliśmy do nich bardzo blisko; wybrałem najbliżej stojącą, nie dalej, niż o dziesięć kroków ode mnie, i strzeliłem, mierzając za ucho. Słoń wrzasnął po strzale, zachwiał się, lecz nie upadł, i umknął, znikając w ciemnym gąszczu wśród piekielnego hałasu lo-

mu drzew i gałęzi. Snadź dostał kulą, ale nie w to miejsce, gdzie potrzeba. Niebawem podjęliśmy nowy trop całego stada słoni. Ślady były widoczne na obfitej rosie i ziemi wilgotnej po wczorajszym deszczu. Maduma, jak tropowiec, biegł za śladem, co czas jakiś kierunku wiatru próbując. Dużo słoni w kupie być musiało, bo istny korytarz w gąszczu wydeptany.

Spostrzegamy gniazdo ogromnych motyli, t. zw. Atlasów (*Atticus Atlas*), największych lepidopterów na świecie. Soult niemal o słoniach zapomniał, tak się temi ćmami ucieszył, gdyż stanowią one pokupny towar dla muzeów i kolekcyj europejskich. Dopiero co z kokonów wylęгле, śliczne w świeżości kolorów z oryginalnymi okienkami w skrzydłach, siedziały, jak ptaki, na liściach i rękoma łowić się dawały.

Po tym motylowym incydencie idziemy dalej. Słonie kręcą nami po dżungli, wreszcie zawodzą nas do wysokopiennej, gęsto podszytej kniei. Nie słyszeliśmy nawet poprzedniego zwykłego łomotu gałęzi, ostrzegającego o ich bliskości, gdy znaleźliśmy się pośród nich. Maduma stanął, jak wryty, potem usunął się na bok, puszczając mnie naprzód. Najbliżej odemnie na lewo stała ogromna, siwa sztuka, zadem ku mnie zwrócona, trąbą rytmicznie się wachlując; przedemną słonik, wielkości wołu, gałęziami się bawił, wesolo niekiedy pokwikując; na prawo czerniało 6—8 sztuk; w oddali było ich sporo więcej, bo widziałem wychylające się ponad krzewy, trąby, dosięgające nieprawdopodobnie wysoko pęków liści i gałęzi w konarach drzew; koło nas, za nami i przed nami wszę-

dzie słonie wokoło. Nie wiem, czy drugi raz w życiu coś podobnego zobaczę, ale wiem, że tego obrazu nigdy nie zapomnę. Przysiadłem na ziemi i dobrą chwilę obserwowałem ruchy pachydermów. Chociaż byliśmy tak blisko, nie zauważyły nas wcale i niebezpieczeństwa przeczuwać się nie zdawały. Nagle młody słonik coś zwietrzyć musiał, bo kwiknąwszy głośno, pobiegł do opodal stojącej matki i przytulił się do niej. W oka mgnieniu wszystkie, jak na komendę, powyciągały trąby przed siebie i słychać było wyraźnie, jak powietrze wciągały. Teraz nie było już czasu do stracenia, bo i kolos, koło mnie stojący, ruszać się począł. Powstałem z ziemi i odskoczywszy nieco w bok, podsunąłem się, jak mogłem, najbliżej. Byłem od jego zadu nie więcej, niż o trzy kroki, lufą go niemal trącić mogłem. Wydawał mi się największym ze wszystkich, które dotąd widziałem, tak olbrzymi, że mu zaledwie do $\frac{1}{3}$ ciała sięgałem. Pomimo bliskości, źle mi było strzelać, bo łeb był zakryty; dopiero gdy łomot i trzask wokoło wskazał, że całe stado do ucieczki się rzuciło, i on powoli się zawrócił i odsłonił mi część łba i ucho. W to miejsce mierząc, strzeliłem. Runął, jak stał, na przednie nogi i na bok się wywrócił. Widziałem dokładnie, jak jasna smuga farby z za ucha trysnęła.

Łomot walących się wokoło pni i gałęzi od uciekającego w popłochu stada, był tak straszny, że mimowolnie obejrzałem się, szukając grubszego drzewa i schronienia. Słoni z górą dwadzieścia przebiegło koło nas, i myślałem, że nas stratuja na miazgę.

Jakżeż przykre było me rozczarowanie, gdy, rzuciwszy okiem na leżącą sztukę, którą uważałem już za pewne trofeum, zoczyłem, jak się kolos powoli dźwignął i mimo drugiej kuli, w szybkości posłanej, umknął za innemi i przepadł. Pobiegliśmy śladem lejącej się obficie farby; niestety! po kilkuset krokach poczęła się zmniejszać, a uszedłszy z milę jej śladem, straciliśmy ją zupełnie. Trop ранnego zbiegł się z innemi i musieliśmy od dalszego szukania odstąpić.

Myśliwy pojmie uczucie formalnego przygnębienia, które mną owładnęło po tym szeregu niefortunnych strzałów, których winę muszę wziąć naturalnie na siebie, lecz przyczyny wytłumaczyć nie umiem. Mierzyłem spokojnie, o chybieniu mowy być nie może, zresztą przy ostatniej sztuce widziałem wyraźnie, jak kula w śmiertelne miejsce ugodziła. Zaczynam myśleć, że chyba broń nieodpowiednia lub ładunki za słabe i kula, wyparta niedostateczną ilością prochu, nie jest w stanie przebić masywnych kości czaszki. Ta ostatnia przyczyna wydaje mi się najprawdopodobniejszą. Moje ładunki do 8-go kalibru zawierają po 6 gramów prochu, gdy słyszałem, że Anglicy nigdy mniej, niż 8 gramów nie używają.

Moja miłość własna cierpi na wyznaniu licznych i niefortunnych mych strzałów do słoni, lecz dla ścisłości prawdy notuję tu zdarzenia, jakie się odbywały, a może odnajdzie w nich amator, któryby emocyi polowania na słonie zażyć pragnął, radę i wskazówkę co do broni i amunicyi, z jaką się wybrać należy.

Mówią, że słoń, niepoległy martwy na miejscu, wyleczy się zazwyczaj z rany w łeb; pociesza mnie zatem, że me postrzałki nie przepadną gdzieś marnie.

Z powyższych kartek widoczne, jaka mnogość słoni żyje w tej części Cejlonu. Jest to niezaprzeczenie rodzaj grubej zwierzyny w tutejszej dżungli najliczniej reprezentowany, i najłatwiej się z nim spotkać. Uderzyła mię też spora ilość słoniej młodzieży, którą spotkałem; niemal w każdym stadzie po kilka sztuk małych słoników świadczy o ciągłym przyroście, który swoją drogą niezbyt szybko się rozwija, bo słoń do 10-iu lat liczy się jako mały, a dopiero wyżej lat 20-tu za wyrosłą sztukę jest uważany. Po ludniowe rejony wyspy nie są najobfitsze w słonie; ma ich być znacznie więcej w górzystych prowincjach środkowych i północnych, gdzie się odbywają w pewnych odstępach lat t. zw. „kraale“, czyli ogromne, kilkunastomilowe przestrzenie zajmujące obławy, celem łowienia tych zwierząt dla późniejszego ich przyswojenia. Niezbyt dawne czasy, gdy sir Samuel Baker z dwoma towarzyszami, w okolicach Kandy, we trzy tygodnie, 50 — wyraźnie: *pięćdziesiąt* słoni ubił.

Nie na tem koniec perypetyj dnia dzisiejszego. Gdy odpoczywaliśmy nad brzegiem jeziora, wygodnie rozłożeni na miękkiej trawie, w cieniu drzew rozłożystych, stadko bawołów przyciągnęło z gąszczu, by w skwarne południe pragnienie zaspokoić. Wychyliły się z gąszczu nad jeziorkiem tak niespodziewanie i blisko od nas, że nie wiedzieliśmy, co począć. Strzel-

by wisiały na poblizkiem drzewie, sami leżeliśmy na ziemi i najlżejszy ruch musiał nas zdradzić i bawoły spłoszyć.

Powoli przysunęły się do wody. Były trzy sztuki grube i dwie mniejsze. Dziwny urok dla myśliwego obserwować zwierzyne, która niepędzona ani straszona, rusza się w kniei swobodnie, nie przeczuwając bliskości człowieka, szczególnie gdy tło obrazu tak piękne, niezspsute żadnym szczegółem, odejmującym mu czarującą cechę dzikiej i dziewiczej przyrody. Miałem nadzieję, że bawoły wleżą do wody i w błocie kąpać się poczną, coby mi dało czas do strzelby się dostać; niestety, przez nieostrożność jednego z kulisów, który głośno się coś odezwał, bawoły nas spostrzegły i w dzikim popłochu do gąszczu umknęły.

Po południu udało mi się ubić jelenia-sambura, ładnego widłaka.

Co za dzień mogłem mieć dzisiaj, gdyby mi strzały do słoni były dopisały i kulis bawolów nie spłoszył!

Dopiero pod wieczór dociągamy do obozu po 10 godzinnych w dżungli peregrynacyach. Zastaję tu posłańca z Hambantoty z pocztą europejską i z wiadomością, że pana Murray'a niema w domu, zatem komisu sfrzelby załatwić nie mógł; lecz teraz już się bez niej obejde, bo mój sztuciec i dzisiejsze strzały wytrzymał.

4 marca. Niestety, zbliżamy się już do kresu naszej wyprawy i od Mandagali ciągniemy z powro-

tem ku Hambantocie. Dziś przysunęliśmy się nad rzekę Yala i rozkwaterowali nad jej uroczym brzegiem.

Z powodu niedzieli odpoczywaliśmy dzień cały i siedzieli nad rzeką, bawiąc się widokiem zgrai małp, wyprawiających wesole hopki w gałęziach drzew nad nami.

Anioł śmierci przeleciał dziś nad naszym obozem; wieczorem popłoch powstał w obozowisku naszych malajskich poganiaczy wolów, koczujących opodal naszego namiotu. Wpadł ktoś z oznajmieniem, że jednego z nich, gdy przez zarośla przechodził, wąż ukąsił w nogę. Co żyło w obozie, pobiegło na miejsce wypadku. Biedny Malaj leżał na ziemi, jakby w ostatnich podrygach, wijąc się w straszliwych kurczach, cały zsiniały i skrzywiony, jęcząc żałośnie. Na szczęście, ratunek był natychmiastowy. Już przed naszym przybyciem zdążyli mu byli nogę w kostce wyżej rany silnie podwiązać, aby jad w górę się nie dostał. W spuchłej stopie było widać cztery niewielkie, choć głębokie ranki. Po odstepie i znaku zębów znać, że wąż był duży, zapewne Tik Palanga (*Vipera Russelii*), z tego samego gatunku, co ów, który był powodem wypadku z mą strzelbą Lebedówką. Dwukrotnie wpil swe zęby w nogę ofiary. Soult przytomnie się znalazł, ratując nieszczęsnego Malaja; rozciął głębiej ranę, krew wycisnął, o ile się to dało, i wpuścił do rany kilka kropel czystego kwasu karbolowego, który tu zawsze musi być pod ręką. W zaciśnięte usta wleli mu mleka kokosowego i jakiś wywar zielny, a nieba-

wem widocznem się stało, że biedny Malaj wykrcęi się od niechybnej śmierci, którejby uledez musiał, gdyby nie natychmiastowy, skuteczny ratunek. Rzadki to wypadek odratowania człowieka od ukąszenia jadowitego węża. Bogu dziękujemy, że uniknęliśmy tak przykrego wypadku w ciągu naszej wyprawy.

Istna plaga Cejlonu to węże, a specjalnie dwa ich gatunki jadowite, t. j. Cobra Capella i Tik Palanga. Cobrę raz tylko w dżungli spotkałem, leżącą wśród ścieżki. Setki ludzi padają ofiarą tych zabójczych gadów, i statystyczne dane wskazują rok rocznie, ilu mieszkańców Cejlonu umiera od ukąszenia węzów. Brak obuwia i ubrania u krajowców stanowi główną przyczynę złego, wskutek której każdy z nich na każdym niemal kroku w ciągłym niebezpieczeństwie życia się znajduje; dziwić się tylko można, że ich więcej nie ginie. Obuty Europejczyk rzadko podlega ukąszeniu i nieliczne są wypadki, aby „biały“ zginął od węża. Śmierć następuje rychło, i nie nie wstrzyma katastrofy, jeżeli ratunek natychmiast, w tejże chwili po ukąszeniu nie nastąpił. Podwiązanie, wypalenie rany lub zupełna amputacja członka ukąszonego — to jedyne sposoby ratunku; środków wewnętrznych medycyna ani praktyka nie zna. Słyszałem, że dobrze jest zaraz po ukąszeniu wlać w człowieka wódki, ile się tylko da, choćby przemocą, i chciałem ten sposób alkoholizacyi do dzisiejszego wypadku z Malajem zastosować, lecz reszta współziomków chorego sprzeciwiała się temu ze względów religijnych, mówiąc, że im, jako muzułmanom, wód-

ki pić nie wolno. Siła wiary większa, niż obawa śmierci!

5 marca. Dziś ostatni dzień w dżungli polowaniu poświęcony; od jutra podwójnymi etapami do Hambantoty śpieszyć będziemy.

Noc jeszcze była, gdyśmy wyszli z obozu i przeprawiliśmy się na drugi brzeg rzeki, znaleźliśmy się na szerokich, trawą zarosłych równinach, ulubionem miejscu wypasu bawołów. Każdy rodzaj grubej zwierzyny jest dla myśliwego i uroczy i ponętny, lecz pomijając słonie i największe felidy, nie znam zwierza, któryby mi więcej imponował i do myśliwskiej wyobraźni przemawiał, niż dziki bawół. Jedno z najmilszych wspomnień mej wyprawy zawdzięczam spotkaniom z tym wspaniałym dżungli mieszkańcem.

Świtać poczęło; gęste, białe mgły, jak przejrzysta zasłona, unosiły się nad łąkami, zalegając wokół otwartą przestrzeń obszernych preryj; gdzieniegdzie tylko czerniał krzew tarniny, pojedyncze drzewo smukłej akacyi lub karłowatej jabłoni. Dziki stadami płątały się w wysokich trawach, przemykając przez ścieżki i nie bojąc się przechodnia, jakby wiedziały, że się tu na nich uwagi nie zwraca; białe pelikany z rybami w grubych dziobach śpieszyły z ранnego połowu z nad brzegów słonych jezior do gniazdowych kolonij; spłoszone pawie z wrzaskiem uciekały do gąszczy; czasem szakał chyłkiem się przemknął, z nocnej wracając wędrówki, najedzony padłem znalazłonego postrzałką; drobne ptaszki wesółym śpiewem witały budzący się dzień boży; zdaleka morze huczało,

górując głuchym szumem nad wszelkie inne głosy natury. Czerwona tarcza słoneczna wychylać się poczęła z za horyzontu, rzucając niezwykle, mglistym oparem przyćmione światło na krajobraz wokoło. Fata morgana tak wyglądać musi. Zaledwie przez lornetkę w białej mgie widoczny, ciągnął już sznurek bawolów do gąszczu, zadaleko jednak, aby mu drogę zabiedz. Samotnie stojąca bawolica, łatwa do rozpoznania po długich, cienkich rogach, zwróciła mą uwagę, lecz zostawiliśmy ją w spokoju, pragnąc z bykiem pojedynkiem się spotkać. Opodał pasło się znowu kilka sztuk, lecz i te puściliśmy bez strzału.

Wyszliśmy z łąk na czystą, piaszczystą równinę, jakby dno wyschłego jeziora. W pośrodku niego ku nam na sztych, na sto kilkadziesiąt kroków, stał bawół potężny, byk-pojedynek, dziwnie dużym się wydający w bladym oświetleniu, na tle białej, milionem drobnych muszelek migocącej równiny. Patrzył na nas, jakby wyzywająco i wcale o ucieczce myśleć się nie zdawał. Podbiegłem do sterczącego w piasku pnia uschłej akacyi i powitałem go kulą z ekspresu. Byk skręcił się po strzale, zatoczył półkole i pełnym galopem, ze łbem w tył pochylonym, głośno sapiąc, prosto ku nam zawrócił. Chybiony był, bo widziałem w strzale, jak kula obok niego w piasek ugodziła.

Stojąc za grubym pniem drzewa, byłem zakryty i czułem się zupełnie bezpiecznym; słyszałem tylko za sobą zamieszanie w gromadce mej świty, która gęsiego się za mną ustawiła. Za gorąco i za prędko drugi raz strzeliłem, chybiając kompletnie rozjuszona

zwierzę. Schwyciwszy podaną mi zręcznie w okamgnieniu przez Soultą, drugą strzelbę, wytrzymałem jeszcze sekundę i trzecią kulę posłałem, — pierwszą, która nie chybiła celu. Dopiero po niej bawół zreflektował się i skręcił w bok, dając mi możność drugiego strzału w komorę. Runął w ogień, lecz dźwignął się i chrapiąc i dysząc, pocwałował w stronę jeziora, opodal się ciągnącego. Pół dnia szukaliśmy go; kilku krajowców, obietnicą datku zachęconych, wzdłuż i wszerz przeszło wszystkie gęszcze i okoliczne kryjówki, — bawół jak w wodę wpadł. I rzeczywiście w wodę gdzieś wleźć musiał i zapchać się w niedostępne krzaki, w wodzie słonego jeziora rosnące, dokąd krajowcy, z obawy przed alligatorami zapuszczać się nie śmieli. Jestem pewien, że niedaleko uszedł i padł bez życia. Dla mnie zdobycz stracona, lecz nabyte wspomnienie najładniejszego spotkania, jakie miałem z cejlońskim bawołem.

Na zakończenie dnia bieżącego zabiłem jelenia-sambura, trzeciego w ciągu wyprawy. Prócz samburów i do danieli podobnych axisów, nie spotkałem na Cejlonie innego gatunku cervida. W górach ma być jeszcze jeden rodzaj, t. zw. „muntjak“, czyli *Cervus vaginalis*, tudzież gatunek antylopy o czterech rogach (*Tetraceron quadricornutus*), lecz bodaj czy ich istnienie na wyspie do przeszłości nie należy; w każdym razie bardzo są rzadkie i do zwyczajnej zwierzyny łownej zaliczyć ich nie można.

6 marca. Cofamy się dziś do Palatupana. Ran-kiem strzeliłem grubego odyńca. Jechałem na kucyku

zwyczajną drogą kołową, wyprzedzając o pół mili cały tabór, gdy odyniec wyszedł z gąszczu i przystanawszy na wzgórku, przypatrywać się nam począł, aż go kula na miejscu rozciągnęła. Śliczne ma kły, duże i niezwykle długie.

W Butawie, w miejscu naszego dawnego obozowiska, przystanęliśmy kilka godzin w czasie południowego skwaru. Szakale się tu po nas rozgościły, zęcone widocznie resztkami zwierzyny i kuchennych odpadków. Pomknęły z krzaka z pod miejsca, gdzie nasz namiot był rozpięty, i trucheika wokoło nas kołować poczęły, jakby nie chcąc opuszczać sympatycznej im miejscowości. Zostało mi jeszcze kilka ostatnich ładunków ekspresa, i pragnąłem w godny sposób na zakończenie je zużyć.

Tabór wysłaliśmy do rest-house'u w Palatupana na nocną kwaterę, sami zaś puściliśmy się pieszo bocznymi ścieżkami przez dżunglę. Zawiodły one nas do leśnego jeziorka. Wychylając się cicho z gąszczu, ujrzałem leżącego pod drugim brzegiem w wodzie, bawoła, po wielkości i rogach sądząc, pojedynczego byka. Strzeliłem do leżącego; ciężko ranny, ledwo wydarł się z błota i wody, i zataczając się, zniknął w gąszczu. Obłeciawszy jeziorko, ujrzelśmy go stojącego pod krzakiem. Łbem się ku nam obrócił, ślepia mu krwią zaszyły, chrapał ciężko i jucha mu waliła z pyska i nozdrzy rozdętych. Wściekle ku nam spoglądał, lecz chwiał się na nogach i sił mu brakło do ataku. Pięć razy jeszcze z Ferekiem strzelaliśmy do zwierza, nim ostatnia kula za ucho z nóg go zwała.

Wspaniały okaz starego byka martwy się rozciągnął. Był to ostatni *last not least*, epizod myśliwski naszej wyprawy.

Wynik jej przeszedł najśmielsze moje oczekiwania: dwa słonie, pięć bawolów, trzy jelenie - sambury, dwa jelenie-axis, dwa odyńce, sporo drobnej zwierzyny, mały zbiór ptaków, pomiędzy którymi kilka rzadkich egzemplarzy, wreszcie kolekcya rozmaitych motyli i owadów, złożyły się na ogólny rezultat trzechtygodniowego w dżungli pobytu, na którego kredycie pozostaje nadto zasób wspomnień najmilszych, jakich kiedykolwiek w myśliwskiej mej przeszłości doznałem.

Tu urywam swój dziennik, i pozostaje mi przeprosić tylko łaskawego czytelnika, który do jego końca towarzyszyć mi raczył, jeżeli znużyła go może jednostajność opisu przygód łowieckich, nieubrana w wykwintną formę barwnego opowiadania. Na moją obronę i wytłómaczenie powołuję się na tytuł tej książki, który z góry winien przestrzedz niemyślnego o zakresie i treści tych skromnych „notatek myśliwskich“. Staralem się w nich skreślić ze wszelką ścisłością szczegółów myśliwskie me przygody z uwzględnieniem opisu rozmaitego zwierza, jego zwyczajów i sposobów polowania, i byłbym niezmiernie rad, gdyby kolega-myśliwy z naszego kraju, mający w zamiarze wycieczkę na Wschód daleki, mógł znaleźć w mej relacji wskazówkę lub radę, któraby pożyteczną mu się stać zdołała.

Nazajutrz po epizodzie z ostatnim bawołem, stanęliśmy na noc w Kirinde, skąd szybkim marszem w jeden dzień drogi zdążyliśmy do Hambantoty. Panna Murray'a, niestety, nie zastaliśmy w domu, i ominęła mnie sposobność złożenia mu osobiście podzięków za usłuszną pomoc, którą nam przy układaniu i w ciągu całej wyprawy okazał.

Tabor nasz z ciężkim bagażem i pakami przeznaczonych trofeów, skór, rogów i t. p., porzuciliśmy w Hambantocie do czasu odejścia najbliższego okrętu, a sami puściliśmy się lądem w podróż powrotną do Colombo. Dzień i noc wlekliśmy się częścią na bryce wołowej, częścią tłukliśmy się w niewygodnym wehikule pocztowym, nim dobiliśmy do Point de Galle. Zawdzięczam tej powrotnej podróży, której bynajmniej ani wygodną, ani nawet łatwą nazwać nie mogę, że przynajmniej szmat kraju na Ceylonie widziałem. Droga prowadzi z Tangalle, gdzie porzuciliśmy nieznośną brykę wołową, ciągle wzdłuż morza się wijąc, przez okolice gęsto zaludnione i żyzne. Jeden nieprzerwany ogród najbujniejszej roślinności i gajów palmowych milami się ciągnie; w nim na pół schowane chaty krajowców, których życie domowe i tyśiączne zajęcia gospodarskie przesuwają się, jak w kalejdoskopie, przed okiem podróżnego.

Droga prowadzi przez miasto Matara, gdzie zmieniamy konie i znajdujemy wypoczynek i znakomite śniadanie w dużym rest-housie.

Po południu zdążamy do Point de Galle, przebywszy jednym ciągiem we 26 godzin wołami i koń-

mi długą przestrzeń 120 mil angielskich, dzielącą Hambantotę od Galle. Stąd już tylko dwie stacje do kolei żelaznej, której szczęśliwie uchwycyony pociąg tegoż dnia wieczorem dowiózł nas do Colombo, przerzucając odrazu z dzikiej dżungli w odmet wielkomięjskiego ruchu i cywilizacji. Po kilku dniach przybyła statkiem z Hambantoty nasza karawana, i sporo miałem zajęcia z wypłatą ludzi, uporządkowaniem bagażów, pakowaniem trofeów i t. p. Tydzień szybko minął w Colombo i w sam dzień mego patrona wsiedliśmy na statek, płynący do Marsylii, który miał nas z powrotem zawieźć do Europy.

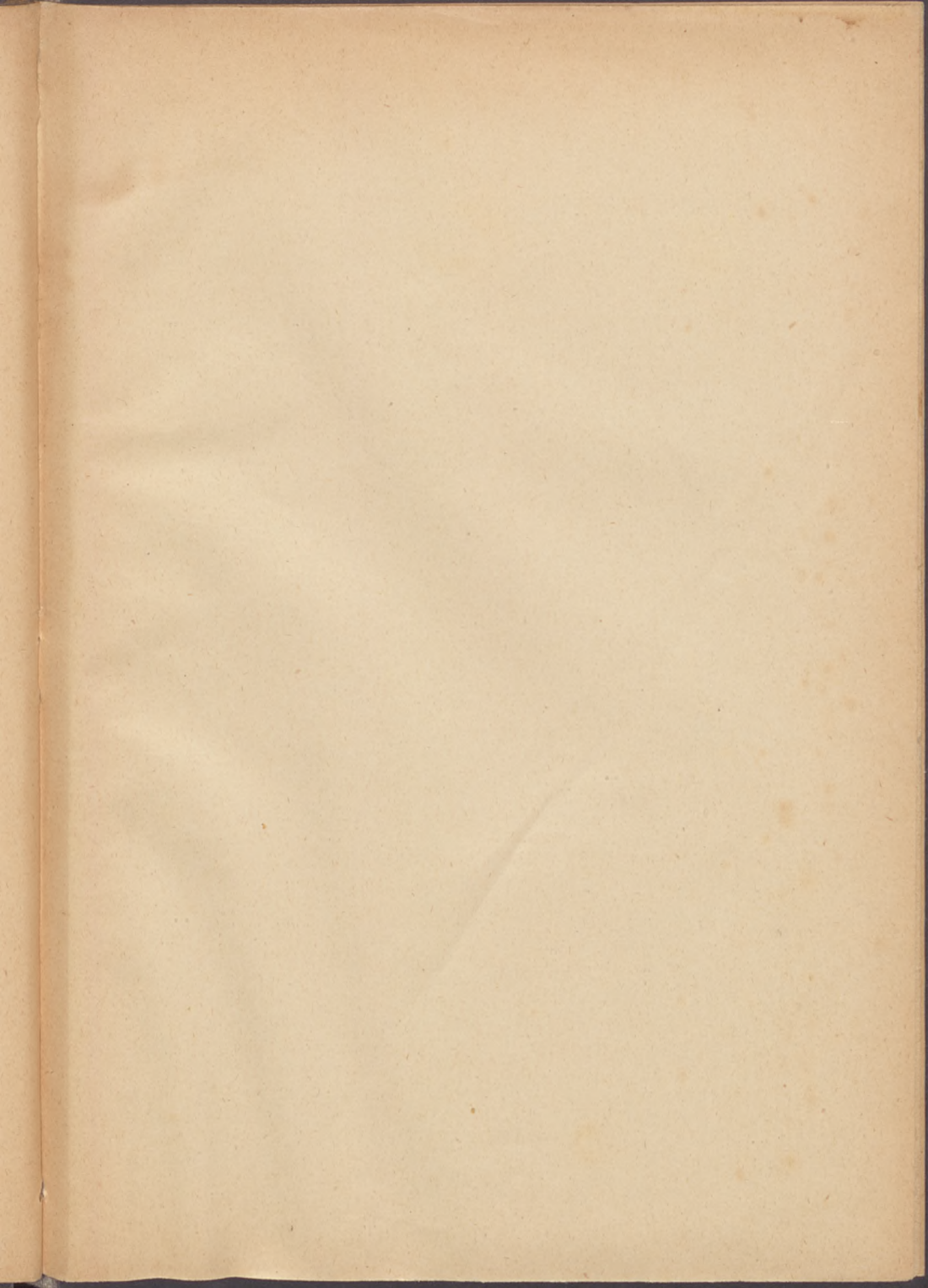
Z żalem patrzyliśmy z pokładu na niknące w oddali, brzegi Cejlonu, gdzie tyle miłych chwil minęło, które na całe życie pozostaną w pamięci.

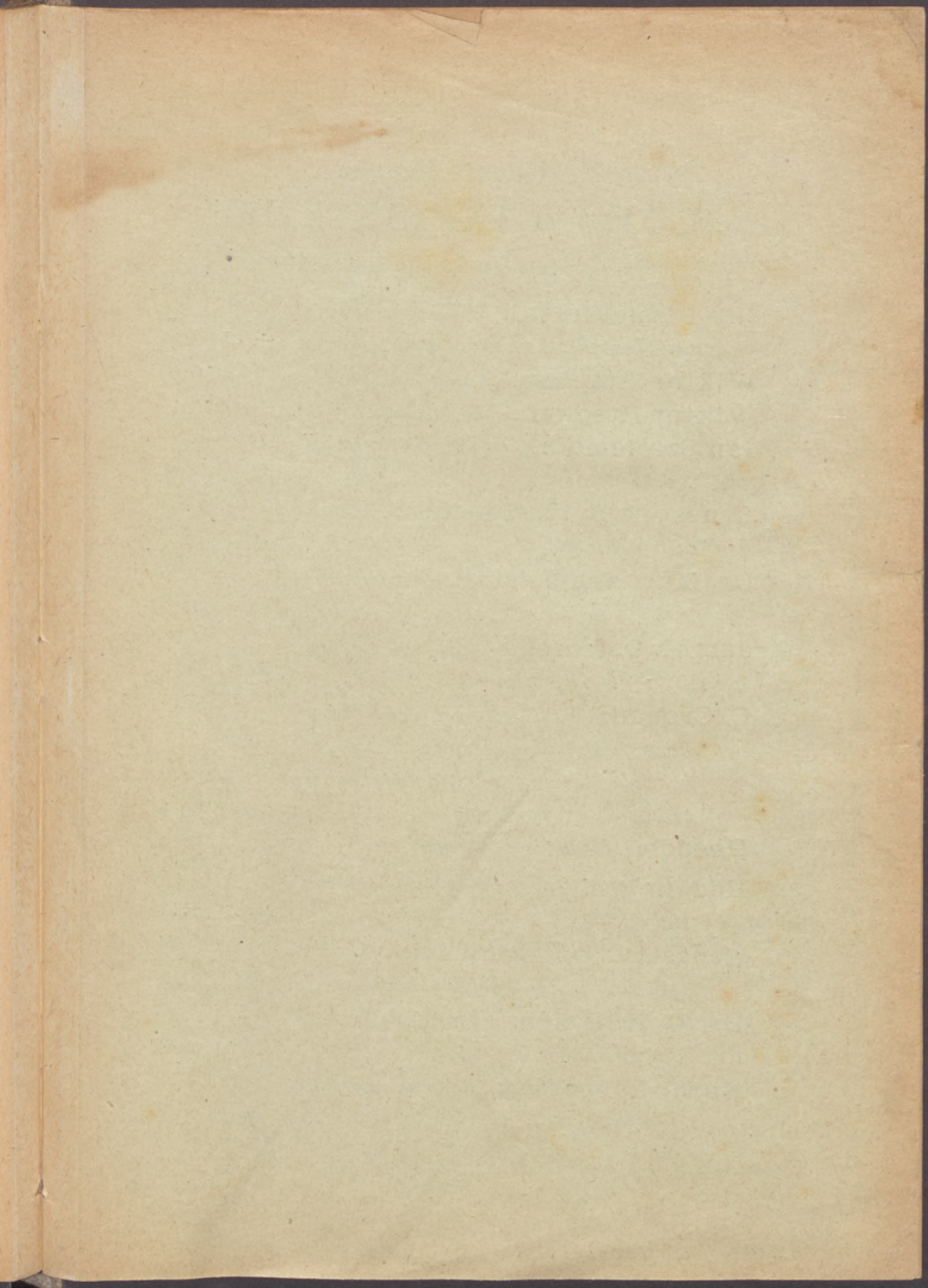
Wspomnienia z polowań na najgrubszego zwierzę w dalekich krainach wiecznego słońca i przecudnej natury, nie zacierają się przez lata i nigdy nie tracą na żywości w pamięci myśliwego, choć zawiśnie na kolku może na zawsze ciężki sztuciec wielkiego kalibru o połamanej i drutem zespolonej kolbie, która pozostanie zawsze pamiątką spotkania się z monarchą dżunglowej fauny w uroczej kniei „rajskiej wyspy“.

Antoniny, w maju 1894 r.



K. 509/51



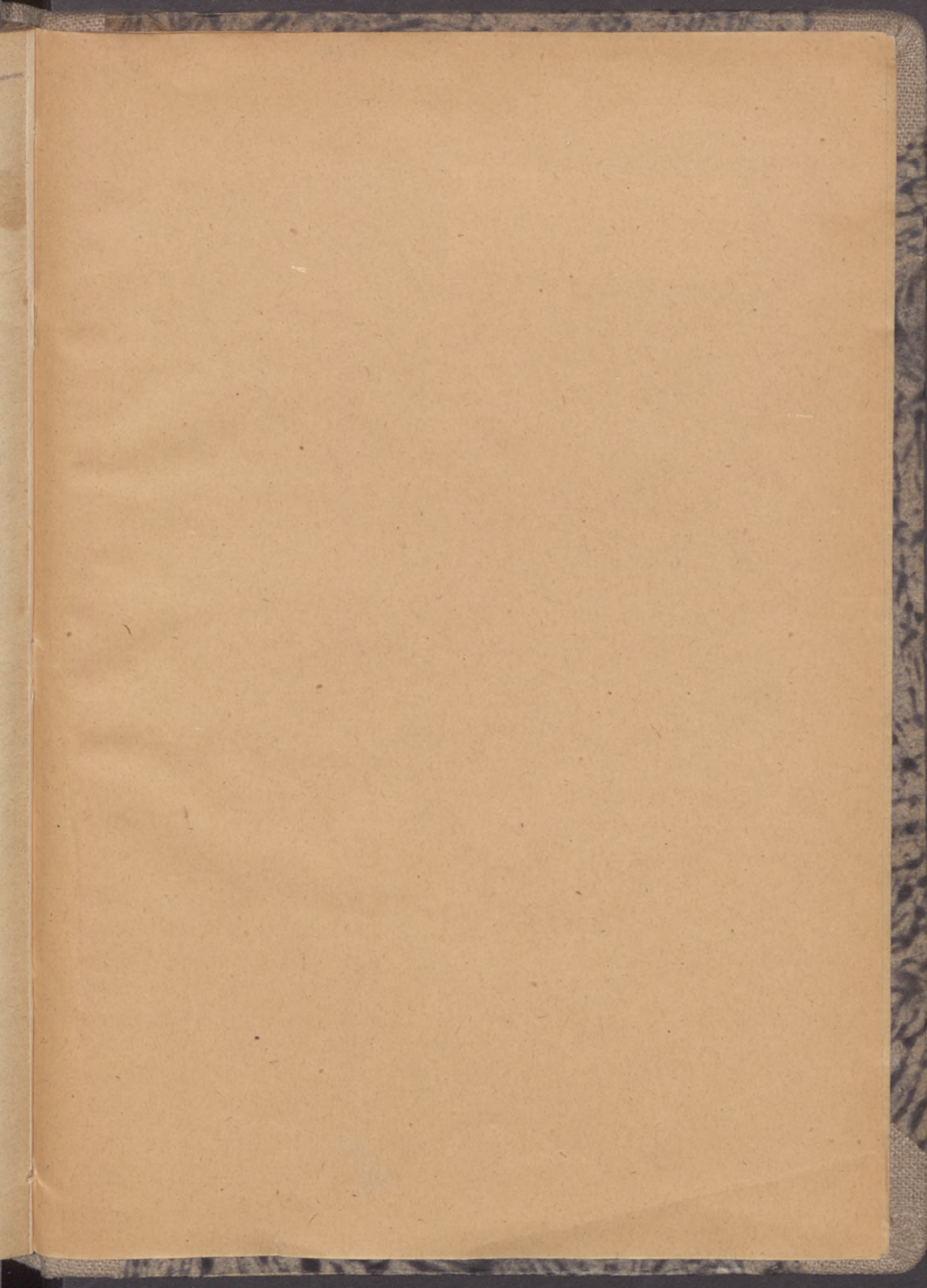


20/2-

Nakładem Redakcyi
„ŁOWCA POLSKIEGO“

wyszły następujące dzieła myśliwskie:

- Jul. Biesiekierski:** „*Kuropatwa Szara*
czyli pospolita” t. I z ilustracyami. . . rb. — 80 k.
- Wiktor Stephan:** „*Sarna*” t. I . . . rb. — 50 k.
- Wiktor Stephan:** „*Zając pospolity* t. I. . . rb. — 70 k.
- Jan Sztolcman:** „*Ornitologia łowiecka*”
t. I. rb. — 80 k.
- Ernest hr. Sylva-Tarouca:** „*Hodow-*
ca a myśliwy” t. I rb. 1 20 k
- Dr. Max Neumeister:** „*Żywienie je-*
leni i Sarn” t. I rb. — 60 k.
- Jan hr. Ostroróg:** „*Myslistwo z ogary*”
t. I rb. — 75 k.
- C. Cronau:** „*Bažant łowny, jego pokrew-*
ne gatunki i krzyżowania. Historya i
hodowla bažanta oraz zakładanie ba-
žantarni” z rysunkami t. I rb. 1 50 k.
- Goedde:** „*Hodowla bažantów*” t. I rb. 1 — k.
- Rudolf Weber:** „*Żelaza i pułapki my-*
śliwskie” t. I rb. — 75 k.
- Ernest v. Dombrowski:** „*Myśliwy*
jako preparator i kolekcjonista rb. — 50 k.
- Dr. O. Hilfreich:** „*Pies zdrowy i chory*”
z rysunkami t. I. rb. 1 — k.
- Karol Lancaster:** „*Sztuka strzelania*
i polowania” t. I. rb. — 80 k.



Biblioteka Główna UMK



300022339581



